

Młodo



Opowieści
wkraczających
w dorosłość

rośli



Młodości

Wydawca: Fundacja Młodości

www.fundacjamlodorosli.pl



@mlodorosli



@mlodorosli

Współpraca merytoryczna: Norbert Basiński — koordynator projektu,

Olga Pajewska — prezeska Fundacji Młodości

Autorzy tekstów: Nel Reszka, Oskar Mierski, Oskar Rybak, Lena Nowakowska,

Paulina Iwańska, Jagoda Ptak, Urszula Minkiewicz

Autorzy komiksów: Nel Reszka, Amelia Papis, Dominika Fornal,

Izabela Miechowicz

Redakcja językowa: Paulina Iwańska

Oprawa graficzna skład tekstu: Karolina Urbaniak

Druk: Drukarnia internetowa CHROMA

Patroni: Studio reklamowe PRZYPINA, Akademia Dobrej Edukacji

w Gdańsku, Uniwersytet Gdański

Publikacja wydana w ramach zadania publicznego "Witaminacja 2.0:

Poszukiwacze skarbów", finansowanego ze środków Wydziału Kultury Gminy

Miasta Gdynia

ISBN: 978-83-970085-0-2

Gdańsk 2023

**spis
treci**

Wstęp

Słowo

1. Oskar Rybak — „Droga do Zachodu”
2. Paulina Iwańska — „Jeden z wielu”
3. Urszula Minkiewicz — „Bratnie dusze”
4. Jagoda Ptak — „Ulubiona kawa”
5. Lena Nowakowska — „Szukając przyjaźni”
6. Oskar Mierski — „Podwórkowe zabawy”
7. Nel Reszka — zbiór wierszy:
„Krucze zmiany”, „Ławka”, „Kolorowisko”, „Jasne okna”

Obraz

1. Amelia Papis — „Raport z Witomina”
2. Dominika Fornal — „Witomino.exe”
3. Nel Reszka — „Kotobranie”
4. Izabela Miechowicz — „Pytania i czasem odpowiedzi”

Wstep

Według raportu *Otwarcie o Zdrowiu Psychicznym*, 52% młodych ludzi odczuwa brak motywacji do działania. Natomiast system edukacji nie wspiera kluczowych kompetencji, istotnych dla rozwoju motywacji, sprawczości własnej samooceny.

*Raport Fundacji UNaweza Db@m Mój zasięg Młode Głowy.
Otwarcie o Zdrowiu Psychicznym*

Chcąc zakwestionować wniosek płynący z powyższego raportu, zaprosiliśmy grupę młodych ludzi do naszego projektu. Przed Tobą efekt ich spotkań i pracy. Powstałe opowieści, zawarte w formie utworu literackiego lub komiksu, to realizacja ich autorskich pomysłów.

Założeniem naszego projektu było — choć w najmniejszym stopniu — wypełnić wspomnianą w raporcie lukę systemową. Wiedzieliśmy, że swoboda w działaniu, wiara i inwestycja w młodych przyniesie oczekiwane efekty. Zależało nam, aby autorzy tych opowieści poczuli, że wyposażono ich w potrzebne kompetencje do urzeczywistnienia założonych celów.

Jestem przekonany, że książka, którą teraz widzisz, jest dowodem na to, że w młodych ludzi warto uwierzyć. Przekazując im odpowiednie narzędzia, budujemy poczucie skuteczności, które jest niezwykle istotne dla ich dobrostanu i osiągnięć życiowych.

*Norbert Basiński
koordynator projektu
Fundacja Młodość*

stowot

1. Droga do Zachodu

Moim drogim przyjaciółom, którym jestem ogromnie wdzięczny za wszystkie rozmowy i wspólne przygody stanowiące inspirację dla tego opowiadania.

Słońce grzało jeszcze zimną, kamienną płytę bloków, choć jesienny wiatr coraz mocniej smagał młode ciało. Niebo mętniało z dnia na dzień, eksponując szarość zamierającego świata. Owa szarość była szczególnie namacalna, i przez to tym bardziej przygnębiająca, z pozycji ławki pod jednym z bloków na Konwaliowej. Z oddali dzwony pobliskiego kościoła wtórowały rozpaczliwej pieśni żałobników, zmierzających apatycznym krokiem stroną cmentarza. Nawet drzewa, mieniące się już rdzawo—miedzianym listowiem, kołysały się w takt tego struchlałego konduktu.

Lecz chłopak siedzący na owej ławce był zaabsorbowany niegromadzącą się tle aurą, szerniałą plamą na surowym betonie chodnika. Wpatrywał się w rozplaszczoną żabę, zamaryły w swych rozmyślniach, których nie przerwały nawet znajome kroki.

— Dobra, jestem. Ale tłumy tam, jak na pielgrzymce.

— Hm? — chłopak na ławce nie odrywał wzroku od truchła.

— Halo, halo, czas wrócić do żywych, Arcio. Na co się tak gapisz?

— Nic szczególnego. Masz? — odparł Artur, podnosząc się z ławki. Janek podrzucił ramieniem plecak, z którego wydobył się brzdęk.

— A co mam nie mieć? Ale trudno było się do kasy dopchać.

Splunął i dodał:

— Dobra, choź już. Rozkminiać życie możesz też po drodze, a mnie coraz mocniej suszy od tego twojego zamulania

Ruszyli chodnikiem między bloki, minęli plac, a w zasadzie kwadrat ciemnego betonu, potem poszli skwerem, aż doszli do osiedla na Narcyzowej. Tam, za jednym ze śmietników, skręcili udeptaną

dróżkę schodzącą dół do lasu.

Będąc gęstwinie mokrych liści gałęzi, znaleźli osłonięte miejsce dla prywatnej rozmowy, choć zza górki dochodził ich nikły szum śmigających przelotnie aut.

Siedzieli przez chwilę milczeniu, wpatrując się tańczący na wietrze na wpół zwiędły liść, to wzlatujący do koron drzew, to znów prawie opadający z czymś na wzór gracji na ściółkę.

W końcu ciszę między chłopakami przerwał Artur:

— Jak myślisz, jaki jest sens tego wszystkiego? Rodzimy się i umieramy, wszystko ma swój czas, który mija... Ale gdzie w tym wszystkim jakiś cel?

— Nie ma go — oznajmił Janek, wychylając butelkę i upewniwszy się, że jest pusta, rzucił ją krzaki. Rozczarowany, że nie usłyszał trzasku szkła, kontynuował — Od początku swojego istnienia spełniasz cudze oczekiwania. Na początek swoich starych, dla których masz być idealnym dzieciakiem. Grzecznym, ale nie nieśmiałym, mądrym, ale bez własnego zdania. Wpajają ci do głowy, żebyś nie wychylał się przed szereg, co sprawdza się już w podstawówce. Masz być pilnym, zorganizowanym uczniem, przynoszącym dobre efekty. Możesz się angażować, ale tylko na ile pozwolą nauczyciele. Wszystko poustawiane w idealną linijkę idealnego życia, które ułożyli ci jeszcze zanim wyróżniłeś się ubabrany śluzem i krwią. Nieświadomy tego, co się dzieje, jakbyś tkwił w mrocznej jaskini.

Otworzył kolejną butelkę i pociągnął długi łyk. Otarł rękawem usta i dodał, wzdychając:

— Całe życie w pieprzonej ciemności, brudzie i krwi, ech...

Artur popatrzył na przyjaciela z nutą zamyślenia i smutku w oczach.

— Czyli sugerujesz, że nasze faktyczne ambicje i marzenia, tacy prawdziwi my, tkwimy w czymś na kształt „jaskini”, przytłoczeni faktem, że nie możemy się z niej wydostać? To znaczy, nie możemy być w pełni sobą, a jedynie cząstka nas ujawnia się w cieniach prze-

mykających po ścianach owej groty, wśród sztucznego światła pozorów, jakie zazwyczaj jesteśmy zmuszeni ukazywać innym?

— No tak jakby. Nie powiedziałbym tego w tak filozoficzny sposób, ale... Chyba tak. Tak mi się wydaje.

Znów zapanowała chwila dłuższego milczenia. Janek spojrzał od-ruchowo na godzinę, jakby trącił go wewnętrzny impuls.

— Oh, fuck. — Podskoczył nagle miejscu, wyrrywając ich obu z zamyślenia. — Wciągnąłeś mnie w te swoje rozkminy i busa bym przegapił. Dobra stary, ja muszę spadać.

— Czekaaj, przecież mogę cię odprowadzić. — Artur wstał i zaczął się pakować.

Zebrali swoje rzeczy i ruszyli powrotem w stronę blokowiska.

— Ej, może poszlibyśmy lasem? Słuchaj, znam naprawdę dobry skrót — zaproponował.

— No nie wiem... Dobra, tylko musimy się naprawdę sprężyć — odparł nieprzekonany do końca Janek. — Jak ten bus mi sieprzy, to na chacie armagedon będzie.

— Spokojnie. Zdążysz, zdążysz. Na luzie.

Szli leśną ścieżką, tak, jakby mieli wracać, lecz zamiast skrócić w lewo, poszli dalej w gąszcz, oddalając się od szumu ulicy. Kałuże odbijały jasność ich twarzy, spokojny wiatr przenikał luźne bluzy. Las gęstniał coraz bardziej, aż stanęli przed koniecznością przedzierania się przez na wpół łyse już krzaki. Artur założył kaptur na ułożone jak ciemne fale na płowym oceanie włosy.

— No, to żeś świetny „skrót” wybrał panie magister turystyki — rzucił sarkastycznie Janek, brnąc przez płataninę gałązek wbijających się jego ciało. — Naprawdę daleko zajdziesz, jeśli takiej organizacji wycieczek was tam ucą.

— Nie mówiłem, że będzie łatwo, tylko szybciej. Zresztą, sam chyba też nie za wiele wyciągasz z tego, co masz na swoim roku — odparł szatyn, na co usłyszał tylko burknięcie. Gdy już przebrnęli przez krzaki, popatrzył na towarzysza przeczesującego włosy.

W promieniach zbliżającego się do zenitu słońca, lśniły niczym poszarpane, rozrzucone różnych kierunkach kłosa, wciąż jednak przyciągając złocistym blaskiem.

Gdy blondyn pozbył się już wszystkich skurczonych listków i drewniak z czupryny, mruknął jakby do siebie:

— Nawet nie mów mi już o tym, w jakim bagnie ja teraz siedzę, ech...

Ruszyli dalej w dół ścieżką, z której za górką majaczył już betonowy parking przy galerii. W miarę ich wędrówki, słońce jakby próbowało dotrzeć na swoje miejsce przed nimi, aż w pewnym momencie skryło się za mętnym tłem horyzontu. Świat znowu jakby znieruchomiał, wpasowując się w milczenie nastolatków. Wiatr zdmuchnął chmury zostawiając zszarzałe nagie niebo.

— Serio uważasz, że nic nie ma sensu? Jakiegokolwiek wartości, nie wiem, miłość czy coś takiego?

— Phh — zaśmiał się Janek. — Znowu chcesz ten temat wałkować? Ech, no dobra... Jak już ci mówiłem, od zawsze spełniasz czyjeś oczekiwania. Teraz też. Idziesz do średniaka, żeby dostać się na studia, które i tak nie mają znaczenia, bo będziesz tak spełniać niezrealizowane ambicje rodziców, dziadków czy kogo tam jeszcze. Masz mieć lepsze życie niż oni, bo przecież „chcą dla ciebie dobrze”. Trochę gówno prawda. Może i chcą dobrze, ale nie zawsze wiąże się to z tym, byś odnalazł to, co ciebie jara i w czym widzisz się szczęśliwym. Wiesz, ja nie miałbym nic przeciwko temu, by pojechać sobie na truskawki do Holandii, bo i tak miałbym lepiej niż teraz. Mogę mieć ten tytuł albo kilka, ale i tak pewnie będę dalej mieszkał na tym cholernym blokowisku, bo ono nie wypuszcza tak łatwo.

Siostra wyjechała sobie do Anglii, pracuje w jakimś małym korpo, nie potrzebując nic więcej niż umieć dogadać się z Brytolami, co ogarnęła dość dobrze. I baluje tam regularnie, ma jakąś swoją ekipę, więc nie wiem, czemu miałyby to być gorsze życie niż tutaj.

— No dobra, ale...

— Nie mów mi błagam o jakiejś robocie dla idei czy znalezieniu szczerzej miłości i że od razu masz lepsze życie. No kurde, nie, bo musisz na nie jakoś zarobić, chyba, że te swoje filozoficzne mądrości chcesz spod mostu wygłaszać. Droga wolna. Ale do momentu, gdy mieszkasz ze starymi, jesteś na nich skazany, musisz słuchać jakie to życie dalekie od ideału, jak bardzo wszystkie Twoje cele przypominają gówniarskie mrzonki. Phm, jakbym dobrze o tym nie wiedział.

Artur nie próbował już przegadać kumpla, zwiesił głowę i szedł dalej milcząc.

— No sorry, stary. Wiem, że to nie jest odpowiedź na jaką liczyłeś, ale chciałem być z Tobą szczerzy przede wszystkim. Nikt inny tak szczerzy nie będzie — powiedział Janek, zauważając przygnębienie ogarniające szatyna. — Dobra, Arturo, nie chcę już cię w taką depresję wpędzać, dlatego teraz, jak okrążymy górkę, każdy idzie w swoją stronę na rozwidleniu. Ja muszę na tego busa dobiec, ty możesz sobie jeszcze tu pofilozofować i najwyżej mi napisz, do czego doszedłeś.

— Czekaj. Chcę jeszcze jedną sprawę z tobą przegadać, ale już bez rozkmin, spokojnie.

— Ech, no dobra. Dawaj, o co chodzi?

— Słuchaj... Co byś powiedział... — zaczął niepewnie Artur, ale przerwał, słysząc szmer krzakach obok. — Co to było?

— Pewnie jakiś ptak albo wiewiór. Dobra, mów o czym pogadać chciałeś, bo ja lecieć muszę.

— Ale tam coś jest. Widzisz, takie się czerwone błyszczą.

— Weź to zostaw stary, ja naprawdę czasu nie mam.

Ale faktycznie, obaj przyjrzeni się dokładniej krzakom, w których leżało coś metalowego, z czerwono białą obudową. Szatyn wszedł w nie głębiej, żeby zidentyfikować przedmiot.

— Ty nie uwierzysz. Ktoś zostawił tu wózek sklepowy — krzyknął entuzjastycznie. — Chyba dałoby się nawet go wyciągnąć, bo jest po prostu zostawiony, jakby ktoś chciał go schować w tym lesie.

— Co? — Janek nie potrafił zrozumieć radości kumpla. — I co chcesz z tym zrobić?

— Pomóż mi z nim, zobaczmy, czy nie brakuje kółka jakiegoś.

— Ale dalej nie wiem, po co ci to. — Blondyn westchnął zrezygnowany. — No dobra, i tak już na ten cholerny autobus nie zdążę.

Nastolatkwowie stanęli po przeciwnych stronach wózka i wzięli go do góry. Nie sprawiło im to problemu, ponieważ był on faktycznie zostawiony bez żadnego zabezpieczenia, nie zaplątał się też w żadne rośliny.

— Ma wszystkie — z czymś na kształt dumy powiedział Artur, coraz bardziej podekscytowany znaleziskiem.

— No git, wózek jak wózek. Tylko co dalej?

— A widzisz, paręgórek tu jest. Można by go wziąć na taką jedną i potem zjechać.

— Dobra, a po co właściwie?

— A dlaczego by nie? I tak nie chce ci się tam jechać, sam to przyznałeś, tak jak to, że jesteś już spóźniony.

— No nie wiem, stary, coś mnie chyba nie przekonuje twój pomysł.

— Ech, no, ciągle jesteś na nie, na wszystko narzekasz. Jakby wyciągnij tego kija dupy i chociaż coś odwal, żeby mieć jedno dobre wspomnienie.

Janek zamilkł na chwilę, żeby przemyśleć słowa kolegi. Jakby nie było chłopak miał trochę racji, na pewno było to coś bardziej interesującego niż zajęcia, których nie znosił.

— No dobra, to dawaj go — odpowiedział, choć dalej jakaś jego część mówiła mu, że może tego żałować.

Wyciągnęli go na ścieżkę i zaczęli prowadzić stronę najwyższego wzgórza, jakie widzieli. Artur trzymał wózek od boku za kratę, zaś blondyn stanął z tyłu, by kierować kółkami. Początkowo szło im opornie, lecz po chwili wypracowali sposób, żeby prowadzić go w

ustalonym kierunku, nie męcząc się znacznie.

— Ej, bo tak mnie tknęło — zaczął szatyn.

— No, co jest?

— Ktoś mi sumie mówił kiedyś o jakichś ciągnikach, co nie? I był jakiś taki niby jak traktor, tylko kurde, nazwy zapomniałem.

— No traktor to traktor, haha, jakiej nazwy niby chcesz?

— Nie no, bo to jakoś na F było... Jaki jest ciągnik na F?

— Hmm, nie wiem... Fciągarka?

— Co? Nie no, to teraz ty za dużo rozkminiasz.

Chłopcy śmiali się jeszcze chwilę, zbliżając się do upatrzonego wzgórza. W końcu droga zaczęła prowadzić coraz bardziej pod górę i znów było ciężiej prowadzeniem wózka. Choć to nie było takim problemem dla nastolatków jak zbierające się nad nimi ciemne chmury i zaczynająca lekka jeszcze mżawka.

— O, teraz się robi ciekawie. Dobra majster, jak chcesz tę naszą „fciągarkę” zabrać pod górę? — spytał Janek.

— Weźmy może go podnieśmy jakby, ja chwycę za kratę od boku jednej, ty jedną ręką za poręcz, drugą za kratę od drugiego boku i podnosimy.

Blondyn kiwnął porozumiewawczo i powoli, choć stanowczo podnieśli wózek i poprowadzili ten sposób parę metrów pod górę.

— Ech, nie żeby to ciężkie było, ale strasznie nieporęczne — stęknął Artur.

— No a czego się spodziewałeś niby? To był twój pomysł, ja sobie jakoś radzę, a ciężiej mam.

Trafili na w miarę prosty odcinek dróżki, którym znowu mogli normalnie jechać, więc postawili postawić swoją zdobycz tam, na mokrą już ziemię kontynuowali podróż.

Niebo coraz bardziej pociemniało, mżawka zmieniła się w deszcz, anastępnie w ulewę zalewającą nastolatków jak morze wylewające się z wielkiej misy pod nieboskłonem. Silny wiatr zawiewał na ich drogę huragan liści, mieszających się z rzeką błota, po których z coraz więk-

szym trudem brnęły kółka, oblepione coraz gęstszą masą. W końcu nie można było już nimi normalnie manewrować, musieli się co chwilę zatrzymywać, żeby oderwać grubą warstwę leśnej wydzieliny, to znów brali fciągarkę do góry i opuszczali na co bardziej przejezdny etap drogi. Małe drzewka po bokach biczowały ich po ramionach w rytm wycia wichury, wiatr ciął twarze zalane rzeką łez firmamentu.

W pewnym momencie postanowili zatrzymać się pod bardziej rozłożystym drzewem i odpocząć chwilę od tej piekielnej wędrówki.

— Dobra stary, ja już mam dość trochę tej „przygody”, nie wiem jak ty. Wolałbym już zdjąć te mokre szmaty i przestać się w tym babrać, bo już niezbyt idzie — powiedział z pewnym wyrzutem Janek.

— Ale no kurde, w pół drogi już jesteśmy.

— Ja nie wiem, jaką ty połowę widzisz, ale tam pod górę to tylko ciężej już, a ja naprawdę zaczynam żałować tej wycieczki — kontynuował blondyn.

— Jasne, dla ciebie zawsze łatwiej jest coś rzucić niż skończyć, co zaczęłeś — mruknął Artur.

— Słucham? — Janek wyraźnie się spiął. — To był Twój debilny pomysł, dobra? Bosz, czemu ja zawsze zgadzam się wciągać tobie w jakieś gówna...?

— W największym tkwisz trochę z własnej woli. Sam wybrałeś sobie zajęcia, które cię męczą, mówisz, że chcesz się wyrwać z miejsca, w którym jesteś, ale brakuje ci odwagi, żeby faktycznie to rzucić. Niezdecydowany balansujesz między tym wszystkim i do wszystkich wokół masz żal. A co do dzisiaj, nikt ci nie kazał zostawać, mogłeś sobie jechać.

— Ta? A kto mówił: „Ej, weź poczekaj, musimy pogadać, ale zajefajnie będzie jakiś cholerny wózek targać pod górę”?!

— Nie zmuszałem cię. Sam nie chciałeś tam jechać. Tak jak mówiłem, obwiniasz wszystkich wokół o własne decyzje, które uważasz za błędne.

— No zrozumiałbyś, gdybyś też wracał do miejsca, w którym uważają cię za nieudacznika, wmawiają ci, że nic nie potrafisz i nic nie osiągniesz. To nie tak, że ja do wszystkich mam problem, ale to wszyscy się mnie czepiają, gdy tylko powiem, że coś mi nie pasuje. Dlatego chcę się stąd wydostać, zacząć na nowo. Ale nie ma tak łatwo. Możesz uciec od blokowiska, najdalej jak potrafisz. Ale nie wyciągniesz człowieka z tego, czego nauczył się od życia na blokowisku.

— Myślisz, że serio nie wiem, jak to jest? A dlaczego niby tyle rzeczy rozkminiam, mam te swoje filozoficzne rozterki? Bo właśnie chcę oderwać się od tej rzeczywistości, która mnie też męczy. KAŻDEGO CZASEM MĘCZY. Nie jesteś jedynym, który chciałby zmienić chociaż trochę w swoim życiu i każdy miewa dość tej rzeczywistości, która go przytłacza. Więc proszę cię, przestań już pieprzyć takie farmazony.

Zapadła chwila ciszy. Nawet deszcz wiatr zależały, jakby wsłuchane strwożone tą dyskusją. Niebo dalej ciemne, ponownie zmętniało.

— Dobra, stary... — zaczął Janek. — Może lepiej ja już pójdę.

Czekał na jakąkolwiek reakcję Artura, lecz ten patrzył na niego w milczeniu, po czym spuścił wzrok na wózek. Blondyn powstał jeszcze chwilę i w końcu ruszył w dół wzgórza. Szatyn odprowadził go wzrokiem i zaczął manewrować wózkiem, by wjechać z powrotem na drogę, którą podążał wcześniej, jeszcze z przyjacielem.

„I dobra, idź sobie. Sam sobie dam radę, nie potrzebuję takiego sztywniaka” — pomyślał.

Deszcz znów zmienił się w mżawkę, chłód przenikał zmoczone ciało chłopaka. Lecz on nie zwracał już na to uwagi. Szedł dalej, kierując przed sobą wózek, który co chwila potykał się o wystające korzenie, czasem grzązł w bagnistej masie.

— Cholera. Najlepiej, zostaw kogoś, kto na ciebie liczy samego. I miej do niego żal, że chciał spędzić z tobą chwilę, nie wiem, podzielić się czymś dla siebie ważnym. Ale nie, szanowny pan ma do wszystkich żal o to, że w życiu mu nie wyszło. Ja pierdzielę... — powiedział

trochę w myślach, trochę mruczając do siebie.

Zaczął podchodzić ciałogarką pod górę. Choć kółka stawiały opór, jakoś udawało mu się posuwać naprzód. Zawiał lekki wiatr. Wózek zaskrzypiał, uniosły się liście. Nastolatek nie zauważył, że kółka najechały na oderwaną gałąź, ledwo wystającą z błota. Stracił panowanie nad sytuacją. W jednej chwili poślizgnął się, wózek wypadł z rąk. Nie zdążył zareagować, przez co metalowy transporter przejechał mu po stopach.

Artur przewrócił się, przetarł kolana. Wózek wylądował kilka metrów niżej.

— Kuźwa! — krzyknął.

Kiedy chłopak miał po niego wstać, zobaczył, że coś rusza się krzakach naprzeciwko. Ale nie tak jak wcześniej. Z zarośli wylazł obskurny knur, brudny, ciemno owłosiony. Patrzył w stronę nastolatka, jakby przygotowując się, by ruszyć na niego.

Zanim Artur zdążył jakoś zareagować, w stronę dzika poleciał kamień. Wylądował tuż obok jego racic. Zwierzę stało przez chwilę oszołomione. Chłopak popatrzył w stronę, z której poszybował pierwszy pocisk. Kolejny kamień poleciał w dzika. Zwierzę uciekło w zarośla, z których wyszło. Zza krzaku drugiej strony wyszedł Janek, trzymając w dłoni kija, którego odrzucił, gdy knur zniknął. Podeszedł do przyjaciela leżącego na ziemi.

— Trzymasz się jakoś? — zapytał blondyn.

— No obecnie niekoniecznie. Dlaczego wróciłeś?

— A wiesz, wiedziałem, że taka kaleka jak ty sobie nie poradzi sama.

— Mhm.

— No dobra — zaczął Janek. — Sorry za wszystko, za tę spinę, narzekania, że cię zostawiłem samego. Żałuję tego bardziej niż czegokolwiek innego. Przepraszam, Arturze.

— Wybaczam. I szczerze mówiąc, też Cię przepraszam. Wiem, że bywam odklejony czasem... Ale dobra, za łzawo się robi.

Janek podał dłoń Arturowi na zgodę i podniósł go z ziemi. Szatyn jęknął z bólu.

— Co sobie zrobiłeś?

— Wózek mi przejechał po stopach.

— Daj zobaczyć — uklęknął. — Hm, chyba pęknięte nic nie masz... Ale czekaj.

Blondyn wziął przyjaciela za ramię i doprowadził kawałek do wózka.

— Ładuj się — powiedział.

— Co ty?

— No dawaj. Przewiozę Cię w wózku kawałek, żebyś się nie męczył, łamago jedna.

— Nie no, dasz radę?

— Stary, weź tak nie stój, tylko dawaj do wózka.

Artur wszedł do wózka, a Janek zaczął kierować go w stronę szczytu.

— Ale gdzie ty jedziesz? — zapytał zdziwiony szatyn.

— No mieliśmy zawieźć go na szczyt, co nie? Plan się chyba nie zmienił.

— Serio dalej chcesz?

— No damy radę zdążyć przed zachodem.

Wjechali kawałek po prostej drodze, a kiedy zaczęła iść pod górę, Artur wstał, pochodził chwilę i razem zanieśli fciągarkę na szczyt wzgórze. Przestało padać, chmury rozeszły się, jakby ich nie było, a na horyzoncie błyszczało zachodzące słońce.

Nastolatkwowie postawili wózek i przystanęli przy nim, patrząc prosto na jaśniejące promienie. Stali tak, przemoczeni, zmęczeni i obolali, ale szczęśliwi i w pewien sposób dumni.

— Wiesz co? — zagadnął Janek. — Pomimo, że może nie byłem taki chętny, to mam taką jedną refleksję.

— No?

— To też nie miało sensu.

— Wiem. Żadnego.

— I po raz pierwszy cieszę się, że zrobiłem coś bezsensownego. Dziękuję ci za to, przyjacielu.

Spojrzał na Artura, uśmiechniętego, patrzącego na słońce przechodzące od złota do gorącego różu.

Nastolatkwie wymienili spojrzenia i roześmiali się w tym samym momencie. Śmiali się jeszcze długo, patrząc na zachodzący blask, aż nie zastąpił go ciemny błękit nocnego nieba.

2. Jeden z wielu

Nie jestem wścibska i nie lubię plotkować. Czasami zdarzy mi się po prostu zobaczyć coś niesamowitego, bo lubię wyglądać przez okno mojego pokoju. Widok nie jest żaden zachwycający — ot, zwykły blok z wielkiej płyty, zbudowany w latach pewnie 70' poprzedniego wieku. Nie wyróżnia się niczym szczególnym; jest jak wszystkie inne bloki na tym Witomińskim osiedlu. Znam jednak każde okno tego budynku. Gdyby jego mieszkańcy wiedzieli, jak wiele czasu marnują na obserwowaniu ich okien, pewnie poważnie zaniepokoiłi by się moim zdrowiem psychicznym i swoim bezpieczeństwem. Nie robię tego jednak w złych zamiarach, po prostu ich życie, dla nich zwyczajne i nudne, jest dla mnie fascynujące, chociaż widzę zaledwie strzępki przez bardziej lub mniej brudne szyby.

Nie znam ich imion i nie jest mi to do niczego potrzebne. Wiem natomiast, że starsza kobieta z pierwszej klatki, która mieszkała na pierwszym piętrze, opuściła już ten świat, bo przestała siedzieć z kotem na balkonie codziennie od 8 rano. Była przez wiele lat, a potem nagle jej nie ma. Przez jakiś czas był jedynie kot, ale teraz i kota nie ma. Zdjęto z okien firany i zasłony, wyciągnięto wszystkie meble, zamknięto okna i na razie jest pustka. Nic więcej. Była starsza kobieta z kotem, została pustka. Ta pustka daje jednak miejsce czemuś nowemu, komuś z nową historią, innym kotem.

Pewnie niedługo wprowadzi się tam ktoś inny, może młode małżeństwo millenialsów z dzieckiem w drodze, tak jak to było rok temu w mieszkaniu piętro wyżej. Mieszkał tam dziadek mojej koleżanki z podstawówki, ale mocno zachorował. Niestety zmarł w hospicjum, a mieszkanie sprzedano. Nowi lokatorzy urządzili je w stylu boho i kiedy zapalają światło wieczorem, widać ich na tle wielkiej marmury, dosyć nierównej, więc wyobrażam sobie, że zrobionej samodzielnie przez lokatorkę. Zauważyłam, że była w ciąży i przez kilka miesięcy obserwowałam, jak zmienia się jej fizjonomia, aż w końcu

zniknęła na kilka dni. Wiedziałam, co to oznacza — jest w szpitalu. Następnym razem zobaczyłam ich już troje — znowu stali na tle makramy i cieszyli się chwilą, zastanawiając się pewnie, co jeszcze przyniesie przyszłość i jak dadzą sobie radę w obliczu tej ogromnej, ale ekscytującej zmiany.

Tuż za ścianą świeżej rodziniki mieszka samotna matka w średnim wieku. Jej dwójka nastoletnich synów gnieździ się w małym pokoju, do którego zapraszają swoich kolegów, kiedy ona jest do późna w pracy. Wkurza się na nich, bo nigdy nie sprzątają po sobie i nie pomagają jej w niczym. Jestem pewna, że krzyczy też na nich, bo czuje zapach papierosów, do palenia których oni nigdy się nie przyznają. Widzę, że po prostu kiwają przecząco, nieodrywając głów od monitorów. Trudno mi patrzeć na jej rezygnację i to jak odchodzi ze spuszczo-
nym wzrokiem do kuchni, by tam cichutko popłakać w samotności. Zazwyczaj kilka łez ronię za nią, kiedy ona nie ma już na to siły. Spotkałam ją kiedyś pod jej blokiem. Siedziała na ławce ze wzrokiem wbitym w coś bliżej nieokreślonego przed sobą. Wyglądała jakby zwyczajnie nie chciała wracać do domu. Tak przynajmniej to sobie wyobrażam. Ma dom, ale nie chce tam być. Ma dom, ale bez ciepła.

Okazało się jednak, że w domu bez ciepła dalej coś się tli. Kocha przecież swoich synów i poświęca dla nich swoje życie, więc może właśnie pod wpływem swoich przemyśleń na blokowej ławce, zmienia podejście do nich. Widzę ich częściej razem, w sytuacjach pełnych rozmów i żartów. Nadal nie jest idealnie, ale czy kiedykolwiek tak naprawdę jest? Chłopcy dorastają, a matka razem z nimi. Nie płacze już tak często i właściwie rzadko widzę ją samotnie siedzącą w kuchni. Zadziała się zmiana. Zrobiło się ciepło.

W klatce C na ostatnim piętrze połączono ze sobą dwa mieszkania i dzięki temu powstał całkiem spory apartament. Mieszka tam małżeństwo po pięćdziesiątce ze starszą panią — matką i teściową. Ta kobieta niestety już pewnie nie pamięta imion swoich dzieci. Widzę, jak codziennie opiekują się nią najlepiej jak potrafią, ale ona

już nigdy tego nie doceni, bo nie umie i nie pamięta jak. Smutny los człowieka tracącego władzę poznawczą, ale jeszcze smutniejszy jest wzrok bliskich osób, które na to patrzą i próbują sobie z tym radzić. Małżeństwo coraz częściej kłóci się o to, co dzieje się przy okazji wybryków starszej pani, której nie można spuścić z oczu. Presja i odpowiedzialność, która na nich spoczywa szarpie ich nerwy, ograbia ze snu, pogłębia zmarszczki i poczucie winy. Udując, że nie ma innego wyjścia z tej sytuacji, dalej brną w czynienie czegoś, co uznali za swój rodzinny obowiązek. Obowiązek z miłości. Obowiązek, który nie odwróci czasu.

W trudnej decyzji oddania starszej pani do domu opieki pomogły małżeństwu ich dorosłe już dzieci. Płakali razem i jeszcze nieraz zobaczą ich w takiej sytuacji. Za każdym razem będę im jednak zazdrościła tego, że mogą to robić razem, obejmując się i trzymając mocno za ręce.

Czuję, że jestem po trochu każdym z nich. Nieposłusznym i egoistycznym nastolatkiem, starszą panią bez pamięci, samotną matką, płaczącą córką po matce, mężem obrażonym na żonę, zatroskanym młodym rodzicem i tym noworodkiem, co nic nie rozumie. Dzieli nas tak wiele, ale właściwie łączy nas jeszcze więcej.

Jestem kolejną potwierdzoną historią w oknie wielkiego bloku, jednym z wielu takich w gdyńskim Witominie.

3. Bratnie dusze

Dla Jagody.

„Kolejna kobieta padła ofiarą Witomińskiego zabójcy. To już szósta dziewczyna, która została zamordowana w przeciągu ostatnich z miesięcy. Policja ogłosiła rozpoczęcie otwartego śledztwa i prosi o współpracę wszystkich obywateli Polski...” — nagle dźwięk się urwał, a obraz na telewizorze zniknął.

— No co?! Co jest! — Julita wykrzyknęła zdezorientowana. — Mamo! Zapłaciłaś rachunki za prąd w tym miesiącu? — zapytała.

— Tak kochanie, ale nie będziesz tego oglądać. Nie po to wydaję pieniądze, żebyś oglądała takie straszne rzeczy — odpowiedziała ze spokojem i pokazała córce pilota, którego trzymała w ręce.

— Po pierwsze, Justyna tam mieszka, więc muszę się doedukować w tym, co się tam dzieje. Po drugie, no weź, proszę? — błagała mamę, żeby oddała jej pilota.

— Nie ma mowy, na szczęście nie mieszkamy nigdzie blisko Witomina, więc nie musimy się martwić tymi sprawami. Chodź, obiad jest gotowy i zawołaj brata. Pewnie znowu gra na komputerze — powiedziała kobieta i nakryła do stołu.

Miała na imię Ania i była samotną matką, jej mąż (tata Julity i Kuby) zmarł kilka lat temu, a ona odziedziczyła jego firmę. Mimo że nie miała doświadczenia w tej dziedzinie, to dawała z siebie wszystko i po pewnym czasie stała się całkiem dobra w tym, co robiła. Kiedy Kuba wyszedł z pokoju, Julita wraz z ich mamą już siedziały przy stole i prowadziły między sobą konwersacje.

— Jak Justyna się trzyma? Dalej ze sobą rozmawiacie? — zapytała kobieta.

— Wszystko u niej dobrze, oczywiście bardzo się stresuje tą całą sytuacją, ale z drugiej strony jest, jak źle to nie zabrzmia, podekscyto-

wana. Zawsze uwielbiała kryminały, więc to, że takie zbrodnie dzieją się w jej okolicy przyprawia ją o pozytywny dreszczyk. A przynajmniej tak mi powiedziała — skończyła mówić i zarówno ona, jak i Ania wybuchły śmiechem.

— Nie jestem pewny, czy to powód do śmiechu, jeśli mam być szczerzy, to trochę dziwne — chłopiec przerwał ich śmiech. — Ludzie umierają, a ona uważa to za ekscytujące. Czy tylko mnie to niepokoi? — zapytał zdziwiony.

— Sam jesteś dziwny, tak tylko powiedziała, ale wiadomo, że się martwi i boi. Po prostu uwielbia wszelkiego rodzaju sprawy kryminalistyczne, lubi słuchać podcastów lub czytać książki takiego gatunku. A jak już mówimy o książkach, to może też powinieneś czasami coś poczytać, to może nie byłbyś taki głupi — powiedziała oschle i odeszła od stołu.

Justyna była jej najlepszą przyjaciółką i najważniejszą osobą na świecie dla Julity. Były tak blisko, że często mówiła o niej jako o swojej bratniej duszy. Zawsze stała za nią murowaną ścianą i broniła jej w każdy możliwy sposób, o jakim mogła myśleć. Położyła się na łóżku, wyjęła telefon z tylnej kieszeni swoich spodni i zaczęła czytać artykuły na temat popełnianych ostatnio przestępstw. Po kilku minutach na ekranie wyświetliło się zdjęcie Justyny i dzwonek w telefonie Julity zaczął dzwonić.

— Halo? — Julita odebrała i czekała na odpowiedź przyjaciółki. Trochę to zajęło, ale po chwili usłyszała głos.

— Widziałas wiadomości? — dziewczyna zapytała cicho.

— Tylko troszkę, mama nie pozwoliła mi obejrzeć do końca, nawet nie wiem, kim jest kolejna ofiara — odpowiedziała Julita.

— Ja wiem, to Daria — Justyna powiedziała oddychając ciężko. Słysząc było, że powstrzymuje łzy.

— Daria... twoja Daria? — zapytała Julita, modląc się, że nie chodzi tu o Darię, którą poznała na 14 urodzinach Justyny, dziewczynę z klasy jej przyjaciółki.

— Yhm — to jedyne, co Justyna mogła wydusić, po czym cały smutek, który w sobie trzymała, wydostał się, a ona zaczęła histerycznie szlochać. Słyszając płacz swojej bratniej duszy, serce Julity pękło i całą resztę wieczoru spędziła myśląc o tym, co mogłaby zrobić, żeby jej pomóc.

Obudził ją odgłos śpiewających ptaków. Dziewczyna wyszła z pokoju i zobaczyła śniadanie postawione na stole.

— Wyspałaś się? — zapytała mama, po czym dodała — Jak zjesz i się umyjesz, spakuj się. Zostaniemy przez jakiś czas u Marii. Justyna przechodzi ciężki okres i przydałoby się jej twoje towarzystwo, oczywiście samej cię nie puszczę, więc jadę z tobą. Kuba już pojechał do babci — Julita spojrzała się na swoją mamę. Ze łzami w oczach i lekkim uśmiechem pokiwała głową. — Zjedz zanim ostygnie, ja idę się myć — powiedziała kobieta i pocałowała córkę w czoło.

Julita skończyła jeść, zmyła po sobie naczynia i niedługo po tym, obydwie dziewczyny siedziały w aucie.

— Niedługo wyznaczona zostanie data pogrzebu Darii, więc pewnie zostaniemy z nimi do tego czasu. Tylko proszę pamiętaj, że nigdzie wieczorem beze mnie cię nie puszczę. To niebezpieczna dzielnica — poinformowała córkę Ania.

— Tak wiem, mamó, spokojnie. Biedna Justyna, musi być jej bardzo ciężko — odpowiedziała zmartwiona Julia patrząc na krajobraz za oknem, który zmieniał się z każdą minutą.

Po około godzinie auto zostało zaparkowane w pobliżu osiedla Justyny. Kobiety wysiadły z samochodu i niedługo po tym w mieszkaniu numer 7 słychać było dzwonek. Drzwi otworzyła im dziewczyna z rudymi kręconymi włosami o jasnej cerze i ciemnych, prawie czarnych oczach.

— Jak dobrze Cię widzieć — powiedziała i przytuliła Julitę.

— Ciebie też, kochana — odpowiedziała dziewczyna i weszła razem z mamą do środka, zamykając za sobą drzwi. Kilka godzin minęło i wszystkie bagaże były już rozpakowane. Nastolatki siedziały w małym pokoju w ciszy, patrząc się na siebie.

— Masz na coś ochotę? — wydusiła z siebie Julita. — Może chciałabyś pooglądać jakieś nierozwiązane sprawy lub porozmawiać o tym, jak my rozwiązałybyśmy tę zagadkę? — dodała z nadzieją, że usłyszy zgodę przyjaciółki. Justyna rzadko miała zły humor, ale kiedy już coś się działo, kryminały i kubek ciepłej herbaty były tym, co ją uszczęśliwiało.

— Wiesz, Juliś, to chyba nie najlepszy czas na takie rzeczy, po tym co się stało z Darią... — nie była w stanie dokończyć zdania.

Julita spojrzała na nią zmartwiona i od razu ją przytuliła. Dziewczyny krótko po tym poszły spać, obydwie były wyczerpane i potrzebowały odpoczynku. Julitę obudziły krzyki, zauważyła, że Justyny nie ma obok niej, a drzwi od jej pokoju są uchylone. Po cichu do nich podeszła i próbowała usłyszeć, kto się kłóci i dlaczego.

— To po coś tu przyjeżdża?! Skoro nie masz zamiaru wesprzeć córki, to śmiało możesz wyjechać! — krzyczała Maria, mama Justyny.

— Uwierz mi, gdybym mógł, to już dawno byłbym w domu. Nie moja wina, że twoja córka przeżywa! — odpowiedział oburzony mężczyzna.

— Moja?! To nasza córka, nasza! — wykrzyczała głośniejszym głosem niż wcześniej kobieta.

— Ja o córkę nie prosiłem, nie moja wina, że się dwa bachory urodziły!

— Wyjdź. Wynocha! — usłyszała jeszcze Julita, po czym drzwi wejściowe trzasnęły tak mocno, że podłoga się zatrzęsła.

Julitka nie miała pojęcia, co się dzieje, ale jak tylko wyjrzała zza drzwi i zobaczyła wysokiego chłopca obok Justyny, zrozumiała sytuację. Nie wiedziała jak długo się na niego patrzyła, ale trochę czasu musiało minąć, ponieważ nim się obejrzała, chłopak wraz z Justyną

do niej podchodzili.

— Juliś, to Konrad, mój brat bliźniak. Konrad, Julita, moja najbliższa przyjaciółka — przedstawiła ich sobie krótko. — Wy sobie porozmawiajcie, a ja pójdę zobaczyć, jak się mama trzyma — dodała i odeszła.

Konrad wraz z Julitą usiedli na łóżku Justyny. Na początku było między nimi niezręcznie, ale po paru minutach udało im się znaleźć wspólny język. Okazało się, że mają wiele tematów do rozmów, większość z nich była powiązana z bliźniaczką chłopaka, ale mimo wszystko konwersacja ciągnęła się i ciągnęła. Im dłużej ze sobą rozmawiali, tym większą uwagę do wyglądu nastolatka przykuwała dziewczyna. Zaczęła zauważać pieprzyki porozsypywane na jego twarzy, kolor jego oczu, który co chwila się zmieniał, w zależności od ilości światła, które padało na jego twarz. Zdała sobie sprawę z tego, jak symetryczne ma brwi i jak bardzo gęste są jego rzęsy.

— Halo? Wszystko git? — zapytał ze śmiechem Konrad.

— Co? — odpowiedziała zdezorientowana Julita, jak się okazało, kiedy ona była zajęta podziwianiem urody chłopaka, on zadawał jej pytanie.

— Zapytałem się, jak się poznałyście, ty i Justyna — powiedział.

— A, no tak — zaśmiała się niezręcznie — Byłyśmy razem na obozie letnim, to było z jakiegoś chyba 5 lat temu, coś takiego — odpowiedziała mu.

Julitka uwielbiała opowiadać o swojej przyjaźni z Justyną, więc jej krótka wypowiedź zamieniła się w 20 minut mówienia o ich historii. Mogłaby rozmawiać drugie tyle, ale nagle mama Julity weszła do pokoju.

— Musimy wracać. Babcia się rozchorowała i nie da rady opiekować się Kubusiem. Pakuj się, za 30 minut jedziemy — powiedziała szybko i wyszła, nie dając córce nic do powiedzenia.

Dziewczyna była w szoku, dopiero co tu przyjechała, a już musi wracać. Dopiero co spotkała się ze swoją bratnią duszą, a już musi ją

opuszczać. Chciała spróbować przekonać mamę, żeby pozwoliła jej zostać, ale od razu porzuciła ten pomysł, wiedziała, że to niemożliwe. Nie z mordercą na wolności grasującym w okolicy. Po paru minutach wstała więc i zaczęła się pakować. Nie zajęło jej to dużo czasu, ponieważ nie zdążyła się nawet całkowicie rozpakować, więc po 15 minutach stała przed drzwiami i zegnała się z wszystkimi obecnymi tam ludźmi. Zarówno Julia, jak i Justyna, wzruszyły się podczas pożegnania, ale nie zdążyły się wypłakać, bo gonił je czas.

— Przykro mi, że nie spędziłyście więcej czasu razem, ale mam nadzieje, że rozumiesz, że nie mogę cię tu zostawić samej, a dziadka już nie ma, więc Kuba byłby bez opieki — wyjaśniła Anna.

Julita wiedziała, że jej mama ma rację, więc jej nie winiła. Oczywiście chciałyby spędzić więcej czasu ze swoją najlepszą przyjaciółką, która jest w trudnej sytuacji, ale nie miała innego wyjścia niż wrócić do domu. Przez całą drogę kobiety prawie w ogóle nie rozmawiały. Nie dlatego, że były na siebie złe, ale nie czuły potrzeby nic mówić. Siedziały więc, słuchając muzyki, i okazjonalnie wymieniały się słowami. Po godzinie dotarły do domu, gdzie zastały Kubę leżącego na kanapie. Kiedy zauważył, że wróciły, chciał coś powiedzieć do siostry, ale zanim mu się udało, ona już była w swoim pokoju.

— Jak było u babci? — zapytała mama. Kuba szybko jej odpowiedział, po czym wstał i podszedł do drzwi sypialni Julitki. Lekko zestresowany zapukał i prawie od razu dostał zgodę na wejście do środka.

— Hejka — powiedział cicho — Jak się trzyma Justyna? Wszystko u niej dobrze? — zapytał.

— Jakoś się trzyma, chociaż łatwo nie jest.

— Julita, przepraszam. Nie chciałem, żebyś źle mnie odebrała, jak mówiłem wtedy o Justynie, mogłem inaczej dobrać słowa. Proszę nie bądź zła — poprosił ją ze łzami w oczach.

— Nie, no coś ty. Faktycznie nie był to najlepszy dobór słów, ale nie mogę się za to gniewać, poniekąd miałaś rację. Tylko proszę, nie

mów tak więcej — powiedziała z lekkim uśmiechem i wkrótce po tym go przytuliła. Chłopiec się rozpląkał i ścisnął ją mocno.

— Obiecuję, nie chcę się więcej kłócić. Jak byłem u babci bałem się, że coś ci się stanie. Że tamta nasza rozmowa będzie naszą ostatnią. Już nigdy się nie kłóćmy — powiedział cicho.

— Nic nigdy nie sprawi, że w jakikolwiek sposób cię zostawię. Jesteś moim jedynym i ulubionym bratem, więc nawet jakby ten pomylenieć chciałby mnie dorwać, pobijałbym go i szybko wróciła — oznajmiła pół żartem, pół serio i rodzeństwo się roześmiało. Resztę dnia spędzili oglądając ich ulubione filmy i jedząc mnóstwo pysznych przekąsek. Nim się zorientowali minęło kilka godzin i wszyscy domownicy poszli spać.

Od ostatniej wizyty u Justyny minęły 3 tygodnie. Dziewczyny rozmawiały ze sobą często przez telefon lub kiedy nie było czasu na rozmowę, pisały. Julita obudziła się rano i pierwsze co zobaczyła, to przypomnienie w kalendarzu, że dzisiaj odbywał się pogrzeb Darii. Westchnęła głośno i poszła do łazienki wziąć prysznic. Kiedy wróciła do pokoju spostrzegła, że ma jedno nieodebrane połączenie od osoby pod nazwą *soulmate* z serduszkami na końcu. Szybko oddzwoniła i usłyszała:

— Hejka.

— Justyna, hej, jak się czujesz? Naprawdę przepraszam, że nie będzie mnie na pogrzebie — rzekła.

— Spokojnie, wiem, że jakbyś mogła, to byś tu ze mną była. Chciałam tylko poprosić cię, żebyś życzyła mi powodzenia. Nie wiem, jak trudne będzie dla mnie patrzenie, jak moja przyjaciółka jest wkładana do ziemi i zakopywana — wyjaśniła.

— Powodzenia — odrzekła spokojnie, ale z troską Julitka. Dziewczyny rozmawiały jeszcze chwilę, po czym się rozłączyły i każda zajęła się sobą. Julita posprzątała w pokoju, później w kuchni. Odrobiła zaległe zadania domowe i nawet zrobiła obiad dla siebie i brata. Jak już skończyła, to nie miała pojęcia, co ze sobą zrobić, więc poszła do

swojego pokoju i położyła się spać.

W środku nocy obudziło ją pragnienie. Wstała i napiła się wody ze szklanki stojącej na szafce nocnej umiejscowionej obok jej łóżka. Kiedy chciała sprawdzić godzinę na jej telefonie, jej wzrok przykuła pewna wiadomość: „Znajdę go. Znajdę tego szaleńca choćby nie wiem co, i dopilnuję, żeby cierpiał tak bardzo jak cierpiała Daria”. To była Justyna. Julita nie wiedziała, czy żartuje czy nie, ale było późno, więc stwierdziła, że porozmawia z nią rano. Zerwała się z łóżka, kiedy usłyszała krzyk swojej mamy. Na dworze było już jasno i ptaki dawno zaczęły śpiewać. Szybko wybiegła z pokoju i zobaczyła swoją mamę, siedzącą na krześle, ewidentnie przestraszona na skraju płaczu. Zmartwiona podeszła bliżej i przez przypadek straciła książkę ze stolika, kiedy zahaczyła o nią nogą. Hałas zwrócił uwagę jej rodzica. Zanim zdążyła zapytać, co się stało, usłyszała jedną z najgorszych wiadomości jaką mogła.

— Dorwał Justynę — powiedziała krótko Anna, starając się przekazać informację najszybciej jak mogła.

— Co... Kto? Moją Justynę? Tę Justynę? — wydusiła z siebie zszokowana i zdezorientowana.

Jej mama spojrzała się na nią ze smutnym wzrokiem i pokiwała głową. Julita nie zwlekała, od razu pobiegła do pokoju, wzięła telefon do ręki i chciała go włączyć. Był rozładowany. Dziewczyna w rozpaczy podłączyła go do ładowarki i jak tylko zobaczyła znaczek baterii z napisaną jedyneką obok, spróbowała ponownie uruchomić komórkę. Tym razem jej się udało i gdy wszystko skończyło się ładować, przyszło jej ponad 20 powiadomień. Większość z nich to były nieodebrane połączenia, ale dostała też parę wiadomości. Weszła w nie i zobaczyła: „Idę go znaleźć”, następne wiadomości zostały wysłane w odstępie około 40 minut. I były one przerażające. Justyna pisała do niej rzeczy typu „pomocy”, lub „błagam odbierz”. Ostatnia wiadomość sprawiła, że Julita zaczęła płakać jeszcze mocniej. Jej najlepsza przyjaciółka napisała, że ją kocha. Zmieszana dziewczyna próbowała zadzwonić się

do swojej bratniej duszy, ale natychmiast była przekierowywana do skrzynki pocztowej. Starła się z nią skontaktować, ale wszystko na nic. Justyna zapadła się pod ziemię. Ogromne poczucie winy zalało Julitkę. Gdyby tylko zamiast iść spać zadzwoniła wtedy do Justyny i wybiła jej to z głowy. Gdyby tylko została z nią i nie wracała do domu. Gdyby tylko pojechała na pogrzeb Darii. Miliony myśli napłynęły do jej głowy, a ona nie była w stanie zrobić nic innego niż płakać. Usiadła na ziemi i przytulając swój telefon zaczęła szlochać. Jej płacz było słycać w całym domu i po parunastu minutach ciągłego skomlenia zasnęła ze zmęczenia. Obudziła się po może paru minutach, godzinach. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, wiedziała jednak, że teraz to ona musi znaleźć osobę, która skrzywdziła jej towarzyszkę. Chciała poprosić mamę, żeby zawiozła ją do domu Justyny, ale szybko zdała sobie sprawę, że się nie zgodzi. Postanowiła więc w nocy wymknąć się z domu i pojechać najszybszym pociągiem. Kiedy wszystkie światła zgasły, postanowiła wprowadzić w życie swój plan i udała się w stronę drzwi od wyjścia.

— Gdzie idziesz? — zapytała Anna. Dziewczyna podskoczyła i ostrożnie odwróciła się za siebie. Zobaczyła jej mamę siedzącą po ciemku na fotelu.

— Wyrzucić śmieci — odezwała cię nastolatka, z nadzieją, że jej rodzic nie połapie się w jej kłamstwie.

— Córciu, nie znam cię od dzisiaj, jutro rano zawiozę cię do domu Justyny i zostaniesz z jej mamą. Wiem, że są to okropne okoliczności i rozumiem, że chcesz wspierać rodzinę twojej przyjaciółki. Wracaj do łóżka, obiecuję, że wcześniej wyjedziemy — oznajmiła.

Julita wierzyła swojej mamie, więc tak, jak została poproszona, udała się do sypialni i próbowała zasnąć. Niestety nie była w stanie. Bliska jej osoba ucierpiała, ponieważ ta wcześniej postanowiła się zdrzemnąć, więc nie mogła sobie pozwolić na sen. Co jeśli podczas jej snu Justyna znowu próbowałaby się dodzwonić? Co jeśli znowu poprosiłaby ją o pomoc, a ona dowiedziałyby się za późno? Tego typu

myśli sprawiły, że dziewczyna leżała w miejscu przez parę godzin, co jakiś czas sprawdzając telefon, upewniając się, że nikt do niej nie wydzwania lub nie próbuje się z nią skontaktować w inny sposób. Kiedy słońce zaczęło wschodzić usłyszała pukanie do drzwi i krótko po tym zobaczyła swoją mamę wchodzącą do jej pokoju.

— To jak? Jedziemy? — zapytała, a w odpowiedzi dostała pokiwanie głową. Julita była już spakowana, więc wyjście z domu zajęło im niecałe 15 minut. Kiedy były już w aucie, dziewczyna zauważyła, że nie ma z nimi jej brata.

— Gdzie Kuba? Nie jedzie z nami? — spytała.

— Nie, jak tylko cię odwiozę, wracam do domu. Wiem, że to może nie jest najlepsza decyzja, ale na pewno w ten sposób będziesz bezpieczniejsza niż jakbyś miała jechać sama pociągiem. Mama Justyny obiecała, że będzie cię pilnować, więc zostawiam cię w dobrych rękach. Tylko błagam, nie wychodź nigdzie sama, dobrze? — poprosiła zmartwiona.

— Obiecuję — skłamała. Nie mogła powiedzieć tego mamie, ale planowała znaleźć mordercę za wszelką cenę, nawet jakby miało jej się coś stać, chciała żeby pożałował tego, co zrobił. Zemścić się było teraz jej priorytetem i nic nie mogło tego zmienić.

Kiedy dotarły na miejsce, mama Justyny powitała je z fałszywym uśmiechem. Widać było, że starała się być silna, ale okropnie cierpiała. Całe oczy miała czerwone i spuchnięte, prawdopodobnie od płaczu. Koszulka wywinięta była na lewą stronę, a jej włosy bardzo potargane. Nikt jednak tego nie skomentował, utrata dziecka to jeden z największych bólów, jakie ktoś musi wytrzymać, więc całkowicie normalnym jest rozpaczanie i męka. Anna pomogła córce wnieść rzeczy do środka, po czym podeszła do mamy Justyny i powiedziała jej coś na tyle cicho, że dziewczyna nie była w stanie usłyszeć, o co chodziło. Rozmawiały jakies 3 minuty, po czym się przytuliły, a mama Julity zwróciła się do swojej córki. Pocałowała ją w czoło, ucisnęła mocno i pożegnała się z nią, wychodząc z mieszkania. Nastolatka po-

szła rozpakować swoje rzeczy do pokoju Justyny, po czym udała się do salonu mieszkania, żeby spędzić trochę czasu z ubolewającą kobietą.

— Naprawdę bardzo się cieszę, że tu jesteś. Moja Justynka, ona... — matka nie była w stanie dokończyć zdania, przez łzy napływające jej do oczu. Julita spojrzała na nią zmartwiona i przytuliła kobietę. Wiedziała, że już dzisiaj zacznie poszukiwania mordercy swojej przyjaciółki. Rozmawiały ze sobą jeszcze kilka godzin, kiedy usłyszały pukanie do drzwi.

— To pewnie Konrad — powiedziała kobieta.

Miała rację, kiedy otworzyła drzwi, ujrzała swojego syna. Emocje wyraźnie znowu dały o sobie znać, ponieważ w chwili, kiedy objęła dziecko, zaczęła szlochać tak, jak jeszcze nigdy. Paręnaście minut zajęło jej uspokojenie się i od razu po tym wzrok nastolatka skupił się na Julicie. Szybko powiedział coś swojej mamie, a ta bez wahania udała się do kuchni. Następnie zbliżył się do dziewczyny i mocno ją przytulił.

— Dziękuję, że przyjechałaś — westchnął.

— No coś ty, nie masz za co dziękować. To jest coś, co chciałam i powinnam była zrobić, w końcu znałam ją już długo. Jej rodzina jest dla mnie bardzo ważna — przerwała i spojrzała się w oczu chłopakowi. — Nawet jeśli niektórych z jej członków poznałam niedawno — dodała z uśmiechem. Obydwoje się roześmiali i udali się do pokoju Justyny, tak jak zasugerował to jej bliźniak.

— A właśnie, muszę się ciebie o coś zapytać — wyznał. — Zauważyłem, że mówisz o mojej siostrze w czasie przeszłym, mogę spytać, dlaczego? W końcu nie znaleźli jej ciała — zapytał.

Julitę zamurowało. Co miał na myśli mówiąc, że nie znaleźli ciała, skoro to niepotwierdzone, że jej przyjaciółka jest martwa, to dlaczego każdy tak mówi? Ogrom myśli i pytań napłynęło jej do głowy. Ostatnio cały czas o czymś myślała, zadręczała się, nie było to nic nowego, więc żeby jakieś rzeczy nie dawały jej spokoju, ale mimo to czuła się bardzo nieswojo.

— Co masz na myśli? — dopytała. — Jak to nie znaleźli ciała? — niedowierzała w to, co słyszy.

Chłopak spojrział na nią zszokowany i powiedział jej wszystkie informacje, jakie posiadał na temat sytuacji jego siostry. Julita dowiedziała się, że jedyne, co wiadomo to to, że Justyna wyszła z domu i nie wróciła. Kiedy jej mama się zorientowała, od razu poszła na policję, a oni zaczęli przeszukiwać okolicę. Po paru godzinach udało im się znaleźć kałuże jej krwi i całkiem spore ilości włosów w ciemnym zaułku, ale ponieważ nie ma w okolicy żadnych kamer, postanowili nie kontynuować poszukiwań i zadeklarować ją jako martwą. Była wściekła, zawiedziona i przerażona jednocześnie. Jakim cudem policja mogła po prostu zaprzestać poszukiwań, skoro na wolności jest morderca.

— Kto dowodził poszukiwaniami? I dlaczego przerwał, skoro Justyna zaginęła niecałe 24 godziny temu? — dopytywała.

— Zofia Pieńska—Kowalczyk — odpowiedział.

— Kowalczyk? Wy ty też jesteście Kowalczyk... — zauważyła dziewczyna.

— Zgadza się, to nowa żona ojca, przejęła jego nazwisko — wyjaśnił.

— Czekaj, czyli, popraw mnie jeśli coś źle zrozumiałam, wasza macocha, wasza rodzina zajmuje się sprawą seryjnego mordercy. I ma gdzieś to, że Justyna zaginęła? Po prostu się poddała? — spytała zszokowana nastolatka.

— Dokładnie tak — odpowiedział. — Rzecz w tym, że Zosia i ojciec nigdy nie lubili Justyny. Po części dlatego, że ona powiedziała mamie o ich romansie, a to doprowadziło do rozwodu i zakończenia przyjaźni z dzieciństwa mamy i Zośki — dodał.

Julitę zamurowało. Była to strasznie przykra wiadomość, ale pomagała jej urozmaicić listę podejrzanych. Teraz znajdowały się na niej dwie osoby, którymi były macocha i ojciec rodzeństwa.

— Konrad, mam plan — ogłosiła przerywając ciszę. Chłopak za-

mienił się w słuch, a ona zaczęła opowiadać mu o tym, jak chce złapać sprawcę i tym samym odnaleźć przyjaciółkę. Miała plan wymknąć się w nocy i chodzić z bronią po okolicy, aż nie natknie się na mordercę. Wtedy zagroziłaby mu bronią, a ten nie miałby innego wyjścia niż zaprowadzić ją do Justyny. Na twarzy Konrada pojawił się uśmiech.

— Tak zróbmy — powiedział. — Justynie bardzo się poszczęściło, że znalazła kogoś takiego jak ty, Juliś — uśmiechnął się szczerze, a bicie serca Julity przyspieszyło. Wiedziała, że to nie najlepsze okoliczności, ale bardzo cieszyła się, że uda jej się spędzić czas z Konradem i że używa zdrobnienia, jak się do niej zwraca. W pokoju zapadła cisza, nastolatkiem siedzieli na przeciwko i patrzyli się sobie w oczy. Julita otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie zadzwonił jej telefon.

— Co tam? — zapytała.

— Nawet się nie pożegnałaś — Kuba odparł zawiedziony.

— Spokojnie, niedługo będę wracać do domu, zostanę tu przez tydzień, dwa i znowu się zobaczymy — powiedziała spokojnie, żeby uspokoić brata.

— No dobra, ale obiecaj mi, że będziemy codziennie wieczorem rozmawiać, tak jak teraz, żebyś wiedział, że wszystko dobrze — poprosił starszą siostrę.

— Dobrze, dobrze — zaśmiała się lekko. Rodzeństwo wymieniło się jeszcze paroma słowami i połączenie zostało zakończone. Julita nagle wpadła na pomysł i od razu odwróciła się do Konrada.

— Słuchaj, to może zrobimy tak — zaczęła. — Ponieważ podejrzewam, że wasza macocha może być w to zamieszana, co ty na to, że jak na razie wrócisz do domu i będziesz miał na nią oko? — zaproponowała. — Oczywiście ja zadbam o twoją mamę, a wieczorami będziemy się spotykać w jakimś miejscu i będziemy szukać wspólnie tego szaleńca. Dobry plan? — zapytała z nadzieją, że Konrad będzie chciał współpracować.

— Całkiem, całkiem. Jak na razie może być, tylko zrobmy tak, że będę ciebie odbierał spod bloku. Jak narazie każdą ofiarą była kobieta, więc ja raczej jestem bezpieczny — dodał na końcu i uśmiechnął się szeroko. Julita bez wahania się zgodziła i wkrótce zapadła noc.

Od ułożenia planu minęło już parę dni. Nastolatkwowie dużo rozmyślali nad tym, kto mógłby skrzywdzić Justynę i wiele innych kobiet, ale na ich liście dalej były tylko dwie, te same, co wcześniej osoby. Za każdym razem, jak wychodzili wieczorami na ulicę, nikt podejrzany nie rzucał im się w oczy. Postanowili więc dokładnie obserwować macochę Konrada i wykonać ruch, kiedy będzie poza domem o późnej godzinie. Coraz więcej dni mijało i Julita zaczynała robić się niecierpliwa, kiedy wreszcie Konrad powiedział jej coś, na co długo czekała.

— Zosia ma dzisiaj nocną zmianę. Myślę, że dzisiaj dowiemy się, czy to ona. Spotkamy się o 21 pod blokiem — przekazał i szybko się rozłączył.

Dziewczyna była zestresowana i podekscytowana jednocześnie. Chciała jak najszybciej znaleźć swoją bratnią duszę, więc od razu zaczęła się przygotowywać do wyjścia. O 20:50 wyszła z mieszkania i czekała na Konrada w umówionym miejscu. Kiedy czas zaczął jej się dłużyć, chciała do niego zadzwonić, ale zorientowała się, że nie ma ze sobą telefonu. Zostawiła go w mieszkaniu i nie miała jak go odzyskać na ten moment, ponieważ nie miała też kluczy. Zawsze jak wychodzili, wracała około 7 i dzwoniła do drzwi, mówiąc, że wróciła z porannego biegania. Czekala więc na niego cierpliwie, ale po bardzo długim czasie postanowiła, że pójdzie sama. Kiedy spacerowała ciemnymi uliczkami zdała sobie sprawę, że jest to o wiele bardziej straszne niż przypuszczała. Pierwszy raz była tak późno na dworze bez Konrada i jego nieobecność była bardzo odczuwalna. Dziewczyna zaczęła rozglądać się dookoła, ponieważ miała wrażenie, że ktoś za nią chodzi. Nie myliła się, z każdą sekundą kroki osoby za nią robiły się głośniejsze co sprawiło, że Julita zaczęła panikować. Próbowala

przyspieszyć tempo, którym szła, ale to na nic. Podejrzany człowiek za nią również przyspieszał. W pewnym momencie zaczęła biec, osoba za nią to samo. Nastolatka była przerażona, kiedy miała się obrócić, żeby sprawdzić, czy dalej ktoś ją śledzi, poczuła czyjąś rękę na ramieniu. W strachu krzyknęła i łzy wypłynęły jej z oczu.

— Julita? — zapytał znajomy głos. Dziewczyna ostrożnie podniosła wzrok i zobaczyła twarz pełną pieprzyków. Z ulgą odetchnęła i przytuliła chłopaka. Kiedy już się uspokoiła zauważyła, że Konrad ma zadrapania na twarzy.

— Co ci się stało? Wszystko dobrze? — spytała zmartwiona. Chłopak wytłumaczył, że wdał się w kłótnie z ojcem, jak ten dowiedział się o jego ocenach w szkole. Z tego powodu się spóźnił, a kiedy był pod blokiem po Julicie nie było ani śladu. Obydwoje kontynuowali poszukiwania, kiedy telefon nastolatka zaczęła dzwonić.

— Wiesz, gdzie jest Julita? — usłyszał.

— Skąd mam wiedzieć, nie ma jej w domu? — odpowiedział.

— Konrad, na miłość boską, wiem, że jesteście razem. Twój ojciec dzwonił, nie ma cię w domu. Nie możecie się szwędzać po ulicach o takiej godzinie. Macie wrócić, w tej chwili! — powiedziała stanowczo jego mama.

— Idziemy — odpowiedział szybko i rozłączył się. Poinformował Julitę o następującej sytuacji i udali się do mieszkania. Po 30 minutach zostali wpuszczeni do środka. Mama Konrada już miała ich pouczać, kiedy ktoś do niej zadzwonił.

— Macie szczęście, czekać tu, zaraz z wami porozmawiam. I ani mi się ważcie ruszać się z miejsca — zagroziła im i odeszła na bok, żeby odebrać. Z każdą sekundą jej wyraz twarzy się zmieniał. Najpierw była zła, później zszokowana, później zestresowana, a na końcu opuściła komórkę i spojrzała na Julitę ze zmartwieniem.

— Julita... gdzie masz telefon? — zapytała z wyraźnym stresem w jej głosie.

— W pokoju Justyny... — odpowiedziała zdezorientowana, niepewna, dlaczego pani Maria się jej o to pyta.

— Idź po niego, natychmiast! — wykrzyczała z drżącym głosem. Julita zestresowana od razu po niego pobiegła i na ekranie zobaczyła 10 nieodebranych połączeń, od zarówno jej mamy, jak i brata. Trzęsąc się wróciła do jej poprzedniego miejsca pobytu.

— Proszę Pani, co się dzieje — dopytała niepewna, czy chce znać odpowiedź na swoje pytanie.

— Kubuś uciekł z domu — powiedziała.

Julita nie marnowała ani sekundy od razu zadzwoniła do brata i na szczęście odebrał.

— Kuba, gdzie jesteś, dlaczego nie ma cię w domu? — zapytała zdenerwowana siostra.

— Właśnie wysiadam z pociągu i idę do... — nie zdążył dokończyć, ponieważ połączenie zostało zerwane.

Dziewczyna próbowała oddzwaniać, ale nic to nie dało. Kontakt z chłopcem się urwał. Od razu jak zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje założyła buty i wybiegła z mieszkania, Konrad i Maria tuż za nią. Biegła ile sił w nogach i cały czas próbowała skontaktować się z bratem. Była wyczerpana, miała wrażenie, że krwawią jej płuca, ale nie mogła przestać. Musiała znaleźć swojego brata. Jedną z najważniejszych osób w jej życiu, kogoś, kto zawsze ją wspierał, kogoś kogo kochała nad życie. Po czasie, który płynął tak wolno jak godziny i jednocześnie tak szybko, jak niecała sekunda, dotarła na peron. Zaczęła rozglądać się dookoła, próbując znaleźć jakiś ślad, który Kuba mógł za sobą zostawić. Szukała wszędzie i kiedy wbiegła do ciemnej uliczki nadepnęła na coś miękkiego. Spojrzała pod nogi i zauważyła czapkę swojego młodszego braciszka. Cała roztrzęsiona podniosła ubranie i niedługo po tym zauważyła kałużę krwi. Przerażona podbiegła bliżej i zauważyła nieprzytomnego chłopca leżącego na ziemi. Krzyknęła tak głośno, że nie dziwiłaby się, jakby było ją słychać na drugim końcu Polski. Objęła brata w ramiona i błagała o pomoc, płacząc tak

intensywnie, że po paru sekundach nie była w stanie wydusić ani jednego słowa. Kiedy Konrad i jego mama ją dogonili, od razu powiadomili odpowiednie służby i niedługo po tym karetka zabierała dziecko do szpitala. Siostra wraz z pozostałymi osobami, które były na miejscu zostali od razu przesłuchani przez policję. Kuba wylądował na oddziale intensywnej terapii i nikt, ani nic, nie było w stanie go wybudzić. Mijały dni, tygodnie, Anna i Julita popadły w rozpacz i gdyby nie to, że Julita miała Konrada, na którym mogła się oprzeć, już dawno straciłaby całą nadzieję.

To było do czasu, aż dostała powiadomienie, *soulmate* do niej napisała. Dziewczyna odzyskała część nadziei i od razu zadzwoniła do Justyny z nadzieją, że odbierze.

— Juliś? — usłyszała.

— O mój boże, Justyna! Co się dzieje, gdzie jesteś, wszystko dobrze? — zasypywała pytaniami przyjaciółkę.

— Udało mi się uciec, błagam, pomocy — odpowiedziała cicho.

Julita nie marnowała ani chwili. Od razu wzięła swoją kurtkę i wybiegła ze szpitala. Kiedy wybiegała, zatrzymał ją Konrad.

— Hej, Julita, wszystko dobrze? — zapytał zmartwiony.

— Justyna — powiedziała i tyle wystarczyło. Chłopak zrozumiał, o co chodziło i wybiegł razem z nią.

Biegli ile sił w nogach, namierzając lokalizację Justyny za pomocą telefonu, który został włączony pierwszy raz od dwóch miesięcy. Trasa zaprowadziła ich do opuszczonego domu, gdzieś na samym końcu Witomina. Kiedy wbiegli do środka zastali tam Justynę, stojącą z uśmiechem na twarzy. Julita była bardzo zdezorientowana, miała tyle pytań. Nie zdążyła jednak żadnego zadać, ponieważ została uderzona w tył głowy i straciła przytomność. Kiedy się obudziła, była przywiązana do krzesła. Powoli otworzyła oczy i zobaczyła rodzeństwo stojące do niej tyłem, śmiejące się.

— Konrad? Justyna? — zapytała, ledwo będąc w stanie wydusić z siebie te dwa słowa.

Nastolatkwowie odwrócili się i na ich twarzach pojawił się uśmiech satysfakcji. Justyna podeszła bliżej do Julity i ze śmiechem zapytała:

— Jak się spało?

— Co tu się dzieje, nie rozumiem — oznajmiła dziewczyna i spojrzała Justynie w oczy.

— Jak tam Kubuś? Trochę się szarpał, więc oberwało mu się bardziej niż planowałam...Ale z drugiej strony, smarkacz mnie zadrapał, więc należało mu się — powiedziało jedno z bliźniaków. Wtedy dotarło do Julity, co się dzieje. To Justyna za tym wszystkim stała i patrząc po postawie i wzroku jej brata, on też nie był święty. Nie rozumiała jedynie, dlaczego. Jej przyjaciółka musiała wyczytać to z jej twarzy, ponieważ od razu odpowiedziała na jej pytanie.

— Widzisz, pewnie zastanawiasz się, dlaczego to wszystko zrobiłam... — przerwała i spojrzała z uśmiechem na Konrada. — A bardziej zrobiliśmy. Wiesz nie ma jakiegoś konkretnego powodu, po prostu chciałam zobaczyć, jak to jest. Od zawsze lubiłam kryminały, ale nie podejrzewałam, że tak łatwo jest skrzywdzić innych i nie ponieść żadnych konsekwencji. Powiem szczerze, na początku wybierałam jakieś przypadkowe panie z ulicy, ale kiedy dowiedziałam się, że Daria obgadywała mnie za plecami, troszkę się wkurzyłam. Ponieważ niektórzy wiedzieli o naszej kłótni, nie mogłam sobie pozwolić na zdemaskowanie, więc upozorowałam swoją śmierć! — tłumaczyła dumna i podekscytowana. — To, że Zosieńka mnie nie lubi, tylko uprosiło wiele rzeczy, parę dźgnięć w udo i bum! Jest kałuża krwi. Dla urozmaicenia scenerii wyrwałam parę włosów i nikt nic nie podejrzewał, nikt mnie nie szukał... no, oprócz ciebie. Ale muszę powiedzieć, że całkiem miło mi się zrobiło, póki nie zaczęłaś przejmować się romansami bardziej niż mną. Wtedy to ty mnie wkurzyłaś! — zaśmiała się po raz kolejny. — Stwierdziłam, że tak tego zostawić nie mogę, więc Kubuś grał rolę takiego, jakby to nazwać, dodatku. Był też dobrą okazją, żeby cię rozproszyć i nawet się nie zorientowałaś, że przez cały ten czas kontaktowałam się non-stop z moim braciszkiem!

— dodała z ekscytacją. — A teraz jesteś tu i twój los zależy całkowicie ode mnie — uśmiechnęła się szeroko.

Julitę ogarnął strach. Próbowwała poprosić Konrada o pomoc, ale to na nic. Chciała przemówić Justynie do rozsądku, ale ta zaklepała jej usta taśmą. Dziewczyna panikowała, zaczęła krzyczeć, szarpać się, próbować rozwiązać linę, którą była przywiązana. Wszystko na nic. Po pewnym czasie zauważyła, że Justyna znowu się do niej odwraca.

— Wiesz Julis, naprawdę mnie zasmuciłaś. Ale tak czy siak, przyjaźnimy się, więc zrobię to szybko — powiedziała i zanim Julita była w stanie coś zrobić, poczuła przeszywający ją ból w brzuchu. Spojrzała na dół i zauważyła krew, dużo krwi. Zaczęła tracić przytomność i jedyne, co zapamiętała przed całkowitym odcięciem od rzeczywistości to dźwięk syren policyjnych.

Obudziła się w szpitalu. Nie miała pojęcia jak długo tu leżała, ale coś, co bardzo ją ucieszyło, to widok jej młodszego brata, śpiącego na fotelu w rogu pokoju. Zaczęła powoli się podnosić, ale nagle brzuch zaczął ją bardzo boleć i nie była w stanie wstać z łóżka. Wtedy odezwała się jej mama.

— Julitko! Dzięki bogu, jak się czujesz skarbie? — zapytała jej mama, z jednocześnie smutnym jak i radosnym wyrazem na twarzy.

— Mamo? Co się stało? Justyna.. Gdzie ona? — pytała dziewczyna, próbując zrozumieć, co się dzieje. Wtedy dowiedziała się, że krótko po tym, jak wybiegła ze szpitala, śledczym udało się zidentyfikować osobę, której DNA znaleziono pod paznokciami Kuby. Sposób, w jaki Julita opuściła szpital, był nagły i podejrzany, więc policja postanowiła namierzyć jej telefon, na wypadek jakby szła spotkać się z napastnikiem chłopaka. Jak podejrzewali, tak się stało i udało im się wczas przewieźć nastolatkę do szpitala oraz zatrzymać rodzeństwo przed próbą ucieczki. Dla Julity to wszystko wydawało się być jednym wielkim koszmarem, miała nadzieję, że zaraz się obudzi i wszystko wróci do normy. Niestety, mimo że było to trudne do za-

akceptowania, taka była rzeczywistość. Jej najlepsza przyjaciółka okazała się być osobą, która zniszczyła wiele żyć, żeby sprawdzić, jak to jest. Jej bratnia dusza czekała na wyrok, dlatego, że krzywdziła ludzi dla zabawy. Justyna, którą znała wiele lat, zraniła ją nie tylko fizycznie, ale też psychicznie.

Jej najlepsza przyjaciółka nie była jej przyjaciółką...

4. Ulubiona kawa

Zaczęło się od zwykłego zamówienia kawy w ulubionej kawiarni na rogu ulicy w jednej z dzielnic Gdyni. Jak codziennie rano dziewczyna poszła zamówić kawę przed pracą i, tak jak zawsze, była miła dla obsługi. Każdy, kto z nią rozmawiał, czuł jak bije od niej dobra energia. Było to jej dużą zaletą. Usiadła w swoim ulubionym kąciaku, z którego miała piękny widok na morze. Czasami dziwne przeczucie nie dawało jej spokoju, kiedy tam siadała. Czuła na sobie czyjś wzrok. Pomimo, że przez pewien czas starała się to ignorować, to przez ostatni czas uczucie obserwowania nasiliło się.

Pewnego dnia, kiedy wracała po długim dniu w pracy, ponownie odwiedziła kawiarnię. Kiedy weszła do środka, poczuła niepokój, który okazał się bardzo odpychający. Próbowała to zbagatelizować, ale uczucie było zbyt silne, więc kupiła kawę na wynos i jak najszybciej stamtąd wyszła. Wychodząc, zauważyła, jak jasne niebo zmieniło się w ciemniejszy wieczór.

Nie chciała wracać ciemnymi uliczkami, więc uznała, że pójdzie do przyjaciółki przenocować. Jej mieszkanie było niedaleko, więc nie bała się iść do niej. Droga była oświetlona latarniami. Idąc, czuła obecny na niej czyjś wzrok. Kiedy była prawie pod domem przyjaciółki, zobaczyła dziwny zarys sylwetki. Uspokoiła ją myśl, że może to być cień krzaka, tak to sobie tłumaczyła. Cały czas miała wrażenie bycia obserwowaną, więc zaczęła iść szybszym krokiem.

Wtedy usłyszała szelest krzaków po drugiej stronie ulicy. Zatrzymała się, tak samo jak jej oddech. Niespodziewanie poczuła czyjś zimny i wilgotny oddech na swojej szyi. Chciała się odwrócić, ale jej ciało było sparaliżowane strachem. Jedyne, czego pragnęła, to uciekać. Gdy zebrała w sobie na tyle sił, by się odwrócić, cicha i tajemnicza istota zniknęła. Dziewczyna zaczęła kierować się w stronę domu przyjaciółki, ale kiedy dobiegła do domofonu, nagle ujrzała postać

stojącą kilkanaście metrów od niej. Była cała ciemna, jakby stworzona z mroku. Miała ponad dwa metry i czerwone ślepia. Istota zaczęła zbliżać się w stronę dziewczyny, która w pośpiechu próbowała otworzyć drzwi, ale zanim dostała się do środka, przerażająca postać była już przy niej.

Dziewczyna była pewna swojej śmierci. Upiór przez krótką chwilę przyglądał się jej, ale gdy drzwi się otworzyły, tajemnicza istota rozpuściła się w powietrzu, zostawiając na ziemi piękny naszyjnik z niebieskim kamieniem.

Kim to coś było?

Czemu mnie zaczepiło?

Czy czegoś potrzebowało?

5. Szukając przyjaźni

Dla moich Rodziców, którzy wspierają mnie we wszystkich moich marzeniach. Wielkie podziękowania dla pani Pauliny Iwańskiej, która pomagała mi napisaniu tej opowieści oraz dla pana Łukasza Szkwarka, który pomógł w zachowaniu zgodności historycznej.

Jak co piątek po szkole, pojechałam autobusem na wizytę do babci. Patrzyłam przez okno autobusu, czekając, kiedy pojawi się w końcu przystanek, na którym muszę wysiąść. Gdy wreszcie dotarłam do Gdyni Witomino, rozejrzałam się wokół. Lubiłam to miejsce, bo przypominało mi wszystkie spędzone razem z rodziną święta. Idąc przez osiedle babci Kasi, szukałam wzrokiem starego bloku, w którym mieszka całe swoje życie. Zadzwoiłam domofonem, a po chwili odpowiedział mi głos babci:

— Wchodź, słoneczko, już otwieram ci drzwi. — Babcia wiedziała, że to ja, w końcu przychodzę do niej zawsze w ten sam dzień, o tej samej porze.

Weszłam po schodach na drugie piętro, a tam czekała już na mnie w drzwiach moja kochana babcia. Od progu już zasypywała mnie pytaniami:

— Jak tam w szkole, skarbie?

— A dobrze, miałam dzisiaj kartkówkę z II wojny światowej i chyba dobrze mi poszło — odpowiedziałam.

— A jak koledzy i koleżanki? — zapytała znowu.

— W porządku — powiedziałam bez przekonania, z nadzieją, że babcia tego nie zauważy.

Przecież nie powiem babci, że z nikim się nie dogaduję, że wszyscy traktują mnie jak ducha.

Babcia wyrwała mnie z zamyślenia:

— Co ty na to, Carmina, żebyśmy wyszły na dwór i usiadły na ławeczce. Jest taka ładna pogoda.

Zgodziłam się i już schodziłyśmy po schodach.

Gdy wreszcie usiadłyśmy z babcią na ławce pod jej blokiem, zauważyłam, że babcia ma jakieś pudełko w kieszeni swetra. Zapytałam ją:

— Babciu, co to za pudełko w twojej kieszeni?

— To coś dla ciebie — odpowiedziała mi babcia.

Byłam ciekawa, co chciała mi sprezentować. Babcia wie, że jestem fanką historii, więc pomyślałam, że to jakiś drobiazg z dawnych lat. Otworzyła pudełko i zobaczyłam ładną starą bransoletkę z kamieniami. Usłyszałam:

— To taki drobiazg z dawnych lat. Jest przekazywany z pokolenia na pokolenie i jest dla mnie bardzo ważny, bo dzięki tej bransoletce poznałam twojego Dziadka.

— To dlaczego mi ją dajesz, skoro jest dla ciebie taka ważna? — zapytałam.

— Bo chcę, żebyś i ty poznała kogoś, na kim ci będzie bardzo zależać. Ta bransoletka ci w tym pomoże, bo ona przynosi szczęście każdemu, kto ją nosi — powiedziała z przekonaniem babcia, po czym założyła mi ją na rękę. Była ładna i zaskakująco lekka, mimo tych wszystkich kamieni. Babcia zapytała mnie:

— I jak, podoba ci się?

— Jest prześliczna, będę ją nosić codziennie — odpowiedziałam Babci.

Zostałyśmy razem jeszcze przez chwilę, a potem wróciłyśmy do jej mieszkania, bo zaczęło robić się zimno, w końcu była jesień. W mieszkaniu zadzwonił do mnie tata, więc odebrałam. Usłyszałam jego głos w telefonie:

— Cześć, Carmina, jesteś dalej u babci?

— Tak, a co? Mam już wracać do domu? — zapytałam tatę.

— Nie, pomyślałem, że skoro jestem w okolicy, to po ciebie podjadę i pojedziemy razem do domu — powiedział.

— Okej, to za ile będziesz, tato? — znowu zapytałam.

— Tak za około piętnaście minut — odpowiedział.

Powiedziałam babci, że tata po mnie przyjedzie i że wraz z nim wrócę do domu. Jak co tydzień, zapakowała mi solidną wyprawkę. Żegnając się, wyprytułała mnie za cały tydzień. Zeszłam na dół, gdzie już czekało na mnie auto mojego taty. Weszłam do środka, odstawiając najpierw plecak i wyprawkę do bagażnika. W drodze tata zagaił:

— Jak ci poszła kartkówka z historii?

— Myślę, że dobrze, boje się tylko, że pomyliłam daty — odpowiedziałam.

— No to bardzo się cieszę — powiedział.

— A co to za bransoletka? — zauważył tata.

— Dostałam ją od babci. Mówiła, że jest w naszej rodzinie już od pokoleń — odpowiedziałam

— Tak, to prawda, ale jestem zdziwiony, że ci ją dała, bo jest ona dla niej bardzo ważna — mówiąc to, zamyślił się.

Reszta podróży minęła nam w milczeniu i słuchaniu radia. Gdy wreszcie dojechaliśmy do domu, wyszłam szybko z auta i wyjęłam wszystkie swoje rzeczy. Tata otworzył drzwi wejściowe, wtedy nasz pies Lia — golden retriever — wybiegł, by się przywitać. Gdy zdjęłam już buty i ruszyłam do salonu, mama mnie zapytała:

— Jak ci minął dzień?

— W porządku, chyba dobrze poszła mi kartkówka z historii i muszę zrobić projekt na biologię na przyszły tydzień — odpowiedziałam.

— W porządku, a u babci jak? Dobrze się czuje? — zagadnęła znowu mama.

— Babcia czuje się dobrze. Mówiła też, że trochę krzyże ją bolą, ale to nie jest żadna nowość. A, zapomniałabym, dostałam bransoletkę — powiedziałaś podekscytowana.

— Pokaż — zachęciła mama.

Później przez chwilę jeszcze oglądał ia powiedziała:

— Bardzo ładna, uważaj na nią, bo może ci się łatwo zepsuć.

— Dobrze. Pójdę już do swojego pokoju poczytać książkę — powiedziała ze zdecydowaniem.

Poszłam do swojego pokoju, zamknęłam za sobą drzwi, potem odetchnęłam z ulgą, że idę do szkoły dopiero w poniedziałek. Zaczęłam bawić się bransoletką, a kiedy nacisnęłam wszystkie kamienie, które się na niej znajdowały, ona zabłysła i zmieniła się w urządzenie, które powiedziało:

— Witaj, Camiro! Gdzie chcesz dzisiaj polecieć?

Przestraszyłam się i zapytałam sama siebie:

— To dzieje się naprawdę?

— Tak, jestem transportem w czasie — powiedziało urządzenie.

— Jak to działa? — zapytałam.

— Mam dwa przyciski, jeden fioletowy, drugi niebieski. Jeśli naciśniesz fioletowy, ustalisz czas, do którego się wybierasz, a niebieskim wyznaczasz miejsce — odpowiedział przenośnik.

Zastanowiłam się i stwierdziłam, że chyba nie jest to ciężkie użytku. Maszyna po chwili zapytała:

— Czy wszystko jest zrozumiałe?

— Tak!!! — krzyknęłam przekonaniem.

— No to w drogę — zachęciło urządzenie.

Zastanawiałam się, jaką datę i miejsce mogę wybrać. Po chwili zdecydowałam, że postawię na II wojnę światową, dokładnie na rok 1940. Głowiłam się przez chwilę nad miejscem, do którego się przenieść. Po zastanowieniu wybrałam w końcu Gdańsk. Nacisnęłam przycisk i powiedziałam, gdzie i w jakim czasie chcę się znaleźć. Po chwili mruknęłam niepewnie sama do siebie i trochę do maszyny:

— Jestem gotowa...

— Udanej podróży! — odpowiedziała maszyna i zabrała mnie do przeszłości.

— Zadziało. Przeniosłam się i stanęłam w centrum Gdań-

ska, koło fontanny Neptuna. Gdy rozglądałam się po wojennym mieście, nagle popchnął mnie chłopak, który był mniej więcej w moim wieku. Przewróciłam się i spojrzałam na niego. Leżał obolały obok mnie, ale błyskawicznie podniósł się i zapytał:

— Wiesz, gdzie mogę się ukryć?

— Nie wiem, przyjechałam do Gdańska dzisiaj rano — skłamałam na poczekaniu, bo przecież nie znałam wojennego Gdańska tak dobrze, jak tego mi współczesnego.

W tym samym momencie chłopak pociągnął mnie na ulicę Große Krämergasse (dzisiejsza Kramarska) i powiedział do mnie cicho:

— Nie krzycz. Jak masz na imię?

— Carmina, ty?

— Arnold, ale mów mi Armi — powiedział.

— Czemu mnie tu ciągniesz? — zapytałam go ze strachem.

— Takich zagubionych ludzi najczęściej łapią, więc trzeba udawać, że znasz okolice. Osoby takie jak ty Niemcy uważają za Żydów — odpowiedział ze zdenerwowaniem.

Po sekundzie wtrącił:

— A po drugie Niemcy mnie gonili.

— Czemu? — zapytałam.

— Zauważyli, że podsłuchuję ich rozmowy, bo nawet dobrze rozumiem niemiecki — oznajmił z wyczuwalną dumą.

Po chwili, jak szliśmy kierunku Bazyliki Mariackiej, postanowiłam go wypytać:

— Dla kogo szpiegowałeś?

— Cicho, zaraz dojdziemy do miejsca i wtedy ci wszystko wytłumaczę na spokojnie, dobrze Carmino? — powiedział szeptem.

— W porządku — odpowiedziałam również cicho.

Szliśmy przez stare miasto, nie odzywając się do siebie, wokół mijali nas Niemcy, którzy oglądali się na nas wyraźną pogardą. Gdy doszliśmy do Motławy i usiedliśmy na skale, Armi zagwizdał jemu tylko znaną melodię. Z różnych miejsc po chwili wyłonili się dwaj

chłopcy i dwie dziewczyny, którzy patrzyli na mnie niepewnością. Wtedy Armi powiedział:

— Carmi, mogę tak do ciebie mówić?

Zgodziłam się bez wahania.

— To Gośka, Jadźka, Witek i Toruń. Ekipo, to jest Carmina — przedstawił nas sobie ze spokojem.

Wtedy blondyn, który został przedstawiony jako Toruń powiedział:

— A ta skąd się wzięła? Pewnie jest niemieckim szpiegiem i nas wyda.

— Nie wyda, nie jest stąd, bo nawet nie wiedziała o skrytce na Kramskiej.

— A może udaje... Może to gra aktorska — powiedział agresywnie.

— Uspokój się, Marcin — powiedział już wkurzony Armi.

Czyli Toruń ma na imię Marcin — pomyślałam.

Wtedy do akcji wkroczył Witek, brunet o kręconych włosach. A ja z dziewczynami, Gośką i Jadźką, patrzyłyśmy jak wryte.

Witek stanął między chłopakami i powiedział:

— Uspokójcie się. Marcin, ty nie oceniaj tak jak Niemcy, bo skończysz tak samo. A ty, Arnoldzie, nie masz się co dziwić Marcinowi, skoro przyprowadzasz dziewczynę, którą dopiero poznałeś — powiedział spokojnie.

W tej chwili pomyślałam, że może wrócę na ulicę Langgasse (Długą), bo czułam, że nie jestem tu mile widziana. Odwróciłam się do tyłu, a w tym momencie Armi chwycił mnie za łokieć. Spojrzałam na niego, obróciwszy się powoli.

Zatrzymał mnie i zawołał:

— Carmi, poczekaj!

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem.

— Nie chciałem, żeby tak to wyglądało, ale zrozum Marcina. Pełno jest Polaków—szpiegów, którzy donoszą na rodaków do okupantów — wyjaśnił.

— Wiem, że ciężko mi będzie zdobyć wasze zaufanie, ale uwierzcie mi, nie mam złych zamiarów.

Wtedy końcu odezwała się jedna z dziewczyn, Gośka:

— Carmi, Toruń tak reaguje, ponieważ jego tatę, który walczył na Westerplatte, zdradził sąsiad i trafił do obozu pracy — więcej nie musiała mówić.

Spojrzałam na Marcina ze współczuciem.

— Trzeba Carmi przedstawić Dziadkowi, bo musi ją wpisać i wytłumaczyć sposób działania — swój głos zabrał Witek, który zwrócił się do Arnolda.

— Dobrze, to ruszamy na Hundegasse (Ogarną).

Tak, jak powiedział Arnold, podzieliliśmy się na mniejsze grupy. Ja szłam z Armim, Witkiem, a dziewczyny z Toruniem. Gdy już byliśmy na Hundegasse, zapytałam Witka:

— Gdzie teraz?

— Wchodź — popchnął mnie w kierunku kamienicy numerem 2. Weszłam przez drzwi, a tam chłopcy pokierowali mnie do piwnicy. Zeszłam po schodach i stanęłam w progu zszokowana. Zobaczyłam około 20 ludzi pracujących nad mapą, ale nie tylko. Witek delikatnie mnie popchnął, usiadłam na najbliższej ławce i próbowałam dojść do siebie, gdy Armi zaczął przedstawiać szefa tej siatki szpiegowskiej — Dziadka.

— Carmi, to Dziadek. To on wszystkim dowodzi. Dzięki niemu mam pomoc ze strony Armii Krajowej i dla nich wykonuje wszystkie zadania.

— Carmino, skoro już Armi ci powiedział co nieco o tym, co robimy, to chciałabym cię zapytać o to, czy jesteś gotowa przystąpić do naszej siatki? — zapytał mnie.

— Jestem, chcę pomagać, tylko muszę wiedzieć, na czym polegałaby moja rola — odpowiedziałam.

— Twoje zadanie, tak samo jak twoich towarzyszy, którzy cię tutaj przyprowadzili, będzie polegać na obserwacji Niemców, Gestapo

i ludzi podejrzanych o szpiegowanie — wyjaśnił.

— Czyli mam obserwować zachowanie mieszkańców Gdańska?
— zapytałam.

— Tak, i co tydzień prosiłbym cię, żebyś pisała raporty, dobrze? —
upewnił się szef.

— Tak, Arnold mówił mi, że muszę się wpisać na jakąś listę.

Po tym, co powiedziałam, Dziadek podał mi ją. Wpisałam swoje imię i nazwisko oraz musiałam oddać swój odcisk palca. Kiedy to zrobiłam, Armi poinformował mnie, kogo w najbliższym tygodniu mam śledzić. Padło na Adolfa Schmitta.

— W pierwszym tygodniu będę szpiegować z tobą. Dziadek mi to zlecił. Będziemy się spotykać z resztą ekipy codziennie. Śluzi pokaże ci w najbliższym czasie. Jutro chciałbym, żebyśmy się spotkali koło fontanny Neptuna — poprosił Armi, a następnie zapytał Jadźki: — Zapytasz swoich rodziców o to, czy Carmi może u ciebie spać?

— Tak. Myślę, że się zgodzą.

Jadźka się do mnie uśmiechnęła.

— Czy masz tu rodzinę i masz się gdzie zatrzymać?

— Nie mam, Jadźka... Będę tobie i twoim rodzicom bardzo wdzięczna — posmutniałam.

— Nie ma sprawy.

W tym momencie poszliśmy do domu Jadźki. Gdy stanęliśmy przed drzwiami, Jadźka zadzwoniła dzwonkiem. Otworzyła nam szarynka w brązowo—czerwonej sukience. Spojrzała najpierw na swoją córkę, później na mnie. Na jej twarzy było widać lekkie przerażenie. Wtedy jej córka powiedziała:

— To Carmina. Przyjechała z daleka. Czy może u nas spać?

Jej mama zastanowiła się, po czym zwróciła się do mnie:

— Dobrze, ale mam nadzieję, że nie narobisz mi kłopotów.

— Nie — odpowiedziałam z przekonaniem.

I takim oto sposobem zamieszkałam w Gdańsku podczas II wojny światowej.

Tak, jak powiedział Armi, następnego dnia czekałam na niego obok fontanny, bawiąc się kamieniami. Po 15 minutach przyszedł Arnold. Spojrzał na mnie z zaciekawieniem i oboje ruszyliśmy w kierunku, który obraliśmy wczorajszego dnia.

Z kryjówki szpiegowaliśmy tego całego Adolfa. Spędziliśmy na tym cały dzień do około godziny 19. I tak nam mijały tygodnie. Szpiegowaliśmy różnych ludzi o różnych zawodach i powiązaniach, ja z Armim lepiej się poznawaliśmy. Gośka i Jadzia stały się mi jednymi z bliższych osób. Rozmawiałyśmy na różne tematy — trochę o szpiegowaniu, trochę o robieniu na drutach, no odrobinę o chłopakach. Koledzy też się do mnie przekonali, bo zobaczyli, że jestem uczciwa i sumienna w moich raportach. Dziadek również był ze mnie zadowolony i uznał, że się sprawdzam. Rodzice Jadźki mnie polubili, czułam się w ich domu jak u siebie. Zaczęło się mi tutaj do tego stopnia układać, że jak pomyślałam o tym, że będę musiała wrócić do domu, posmutniałam. Jednak wszystko bardzo szybko się zmieniło.

W poniedziałek spotkałam się z całą grupą koło fontanny. Dostaliśmy od Dziadka chyba jedno z cięższych zadań do wykonania, czyli szpiegowanie szefa niemieckiej policji w Gdańsku. Zaczęliśmy obserwacje od ulicy Długiej i poszliśmy w kierunku Postgasse (dzisiejsza Poczтовая). Szliśmy w grupach trzyosobowych — ja z dziewczynami, chłopcy osobno. Szliśmy dalej, nagle od tyłu zaatakowała nas niemiecka policja. Złapali nas, powalili mnie i dziewczyny na ziemię.

Chłopcy przez chwile próbowali się wyrwać z uścisku policjantów, ale byli zbyt słabi. Zaciągnęli nas do więźniarki, wrzucili do niej, a chwilę później przyprowadzili pobitych chłopaków. Ja z dziewczynami skuliłyśmy się w kącie. Niemcy wymierzali do nas z broni. Wszyscy byliśmy cicho, dopóki nie dojechaliśmy na miejsce. Wypędzili i rozdzielili nas siłą. Mnie zaprowadzono od razu do sali, w której czekał na nas sam szef policji niemieckiej, którego mieliśmy szpiegować. Przybrałam kamienną twarz, spojrzałam na niego, a on

powiedział do mnie łamanym polskim:

— Zamierzałaś mnie śledzić, tak?

— Co? Ja tylko szłam z koleżankami po coś do jedzenia — odpowiedziałam przerażeniem.

— Nie kłam mi tu, mała smarkulo! Dobrze wiem, że szpiegowałaś — powiedziałwszy to, złapał mnie za włosy. Kiedy pisnęłam, pociągnął jeszcze mocniej.

— Zapytam jeszcze raz, czy szpiegowałaś? — wrzasnął mi do ucha.

— Nie — odpowiedziałam z płaczem.

Wtedy on zwrócił się do swojego podwładnego:

— Zabierz ją na dół. Niech zastanowi się nad swoją odpowiedzią. Ale zanim to zrobisz, niech się przedstawi — mówiąc to, spojrzął na mnie, dając mi do zrozumienia, bym nie kombinowała.

— Carmina Jastrzębowska — przedstawiłam się.

— Co to za dziwne imię? Czy ty może jesteś żydówką? — zapytał Niemiec.

— Nie, jestem z pochodzenia Polką. Moi Rodzice zostali pojmani przez Was, odtąd nie mam z nimi kontaktu — skłamałam na poczekaniu.

— No dobrze, w takim razie ostatnią rzecz, którą chcę od ciebie wiedzieć, to data urodzin — powiedział.

— 2 września 1927 — powiedziałam z zawahaniem.

— Na pewno? — krzyknął.

— Tak — odpowiedziałam cicho.

— Dobrze, zabierz ją stąd — powiedział ze znużeniem.

Policjant zaprowadził mnie do więziennej celi, do której mnie wepchnął. Potknęłam się, ale na szczęście w ostatniej chwili złapał mnie Armi. Cała się trzęsłam. Wtedy policjant, który mnie tu przyprowadził, zaciągnął Witka i zamknął drzwi. Armi odwrócił mnie, bym mogła mu spojrzeć oczy i zapytał cicho:

— Nic ci nie zrobili?

— Nie, nie bardzo — odpowiedziałam drżącym głosem. Rozejrza-

łam się, a wokół zobaczyłam prawie całą naszą grupę. Nie było tylko Witka i, o zgrozo, Torunia.

Minęła godzina, a chłopaków dalej nie było. Zauważyłem, że Carmina zaczęła panikować. Chodziła po celi tam i z powrotem. Ja także zacząłem się denerwować. W końcu nie wytrzymałem i złapałem ją za ramiona, i powiedziałem:

— Carmi, uspokój się.

Patrzyła na mnie z przerażeniem, strachem i jednocześnie ze złością. I wtedy wykrzyknęła mi w twarz:

— Czy ty się w ogóle nie przejmujesz? Masz ich gdzie?!

— Przestań mi wypominać to, czego nie robię — rzekłem, starając się zachować spokój.

— Przecież widzę, że nie pojmujesz powagi sytuacji — stwierdziła cała wkurzona.

Urażony odwróciłem od niej plecami, a wtedy ona na skraju płaczu wypowiedziała kolejne słowa, które bardzo mnie zabołały:

— Odwracasz się od tego wszystkiego jak tchórz. Nawet nie umiesz przyznać, że nie przejmujesz się ich losem.

Odwróciłem się szybko, nawet nie zdążyłem przemyśleć tego, co robię. Popchnąłem Carmi. Dziewczyny złapały ją ostatniej chwili, a ja wtedy powiedziałem do niej:

— Nie wiesz, o czym myślę i czy się o nich boję.

Wszystkie trzy dziewczyny patrzyły na mnie z przerażeniem. Właśnie w tym momencie przyszedł Niemiec, który powiedział do mnie:

— Szef cię wzywa. Wyłaż! Szybko!

Wychodząc, rzuciłem okiem ostatni raz na dziewczyny i ruszyłem za Niemcem na górę. Zostałem poprowadzony do nieznanomych mi drzwi. W środku już czekał na mnie Szef. Od razu zapytałem go:

— Gdzie jest Marcin i Witek?

— Twoi koleżcy zaraz się tu zjawią — powiedział chytrze.

Zacząłem się bać, czy zrobili coś chłopakom oraz czy planują

skrzywdzić również mnie. Wtedy z zamyślenia wyrwał mnie jeden z policjantów:

— Siadaj.

Posłusznie usiadłem, potem zaczęto przesłuchanie:

— Jak się nazywasz?

— Karol Kolarski — powiedziałem bez zastanowienia, a wtedy Niemiec spoliczkował mnie i wykrzyczał mi prosto do ucha:

— Nie kłam, bo oberwiesz!

Zastanowiłem się czy opłaca mi się skłamać, czy powiedzieć prawdę. Zdecydowałem się na prawdę.

— Arnold Witomiński.

Niemiec sprawdził papiery czy mówię prawdę. Zadowolony odwrócił się w moim kierunku i powiedział:

— No dobrze, to w takim razie powiedz mi, co robiłeś dzisiaj?

— Szedłem z moimi przyjaciółmi po ciasteczka do mojej cioci — skłamałem.

— Nie kłam! — wykrzyczał i uderzył mnie całej siły brzuch. Zagryzłem usta, aby nie usłyszał jęku.

— Nie kłamię — odpowiedziałem.

— Dobrze, w takim razie przyprowadźmy pozostałych dwóch — mówiąc to, zwrócił się do strażnika. Czekaliśmy, wpatrując się w siebie nienawistnie, po chwili zobaczyłem ledwo żywych chłopaków. Od razu wstałem i podbiegłem do nich.

— Co oni wam zrobili?

— Staraj się odpowiadać prawdziwie, bo będzie gorzej — odpowiedział mi Witek, krzywiąc się.

W tym momencie przerwał mu Szef, który zwrócił się do mnie:

— I co, Witomiński, będziesz współpracował?

Spojrzałem na niego spode łba i powiedziałem:

— Nie zamierzam pomagać ani rozmawiać z osobą, która krzywdzi moich przyjaciół.

Niemiec spojrzał na mnie z zaintrygowaniem. Zwrócił się do nas

oraz strażnika:

— Zaprowadź ich na dół, a ty, Witomiński, przemyśl swoje odpowiedzi, bo jeszcze raz usłyszę takie odzywki, to nie będzie tak miło jak dzisiaj.

Posłusznie zesliśmy na dół. Pomogłem Marcinowi, który ledwo stał o własnych siłach. Gdy Niemiec wpuścił nas do celi, dziewczyny od razu do nas podeszły i zaczęły nam pomagać. Opatrzyliśmy Witka i Marcina tym, co mieliśmy. Usiadłem przy samym wejściu i zastanawiałem się, co mogę zrobić, żebyśmy wyszli stąd żywi.

Patrzyłam z przerażeniem na wszystkich i zastanawiałam się, jak ich stąd wydostać. Z wycieńczenia zasnęłam, nawet nie wiem kiedy. Obudził mnie głos jakiegoś mężczyzny, który mówił szeptem:

— Wstawajcie, mam za zadanie was stąd wyprowadzić.

Ja z Arnoldem od razu się zerwaliśmy. Arnold zaczął rozmawiać z nieznajomym, a ja w tym czasie zaczęłam budzić resztę. Dziewczyny i Witek szybko się zebrali i stanęli gotowi. Gorzej było z Marcinem, bo nie mógł sam wstać. Jadźka stała nad nim zmartwiona. Arnold streścił nam, że mężczyzna, który tu przyszedł, został wysłany przez Dziadka. Nazywa się Łukasz Wyspiański i zna wyjście z więzienia. Był tylko jeden problem — jak opuścić więzienie bez zauważenia z poszkodowanym Marcinem.

Łukasz otworzył drzwi celi i od razu poprowadził nas jak więźniów do Szefa. Tak naprawdę pokierował nas tak, że chwile później staneliśmy przed fontaną Neptuna. Udało nam się. Uciekliśmy z rąk Niemców, i to razem z Marcinem. Zaprowadziliśmy Torunia do domu, którym miały się zająć pielęgniarki wysłane przez Dziadka. Dostałem wiadomość od Łukasza, że mamy iść do domu mojej Babci Irenki. Przeszliśmy przez dwie ulice i po chwili zadzwoniłem do jej drzwi. Po pewnym czasie otworzyła, a my weszliśmy szybko do środka. Gdy usiedliśmy, babcia zapytała nas, co się dzieje.

Byliśmy domu w Armiego, a ja zastanawiałam się, jak mam im powiedzieć o tym, skąd właściwie jestem. Babcia Arnolda została wprowadzona w szczególnej sytuacji, w której się znaleźliśmy i patrzyła na nas wszystkich ze smutkiem. Po chwili wszyscy zaczęli pomagać kobiecie w organizacji miejsca do spania, ale mi nie dawało spokoju, że nie znają o mnie całej prawdy. Nie wytrzymałam i zapytałam Armiego czy możemy porozmawiać. Zgodził się i przeszliśmy do drugiego pokoju, po czym od razu zapytał mnie:

— O co chodzi?

— Chodzi to, że ja nie jestem stąd.

— No to już wiem, przecież mi mówiłaś.

— No tak, ale mi chodzi o czas...

Arnold patrzył na mnie z zaciekawieniem, jednocześnie z przerażeniem. Po chwili ciszy zapytał mnie:

— Jak to jest możliwe, że tu jesteś?

Zastanowiłam się, jak mu to wytłumaczyć. Postanowiłam, że powiem mu wszystko, co wiem.

— Dostałam od Babci bransoletkę, która, kiedy się nią bawiłam, zaczęła mówić i przeniosła mnie w czasie... To cała historia.

Arnold patrzył na mnie z szokiem wymalowanym na twarzy.

— Carmi, czy ta wojna się kiedyś skończy?

— Skończy się, a Polska zostanie odbudowana.

— Mam jeszcze jedno pytanie, w sumie prośbę. Czy mogłabyś sprawdzić, czy nasza ekipa przeżyje wojnę? Proszę! — powiedział lekko zachrypniętym głosem Arnold.

— Mogłabym, ale nie wiem jak długo mnie nie będzie w waszym czasie — odpowiedziałam.

— Spróbuj, będę cię kryć.

— Dobrze — powiedziaławszy to, włączyłam urządzenie, które zapytało mnie:

— Chcesz wracać w pojedynkę czy z innymi ludźmi?

Zdezorientowana odpowiedziałam maszynie:

— W pojedynkę.

Gdy tylko to powiedziałam, znalazłam się w moim pokoju o tej samej godzinie, o której stąd wyruszyłam w podróż życia. Nie wiedziałam, co tym myśleć, ale od razu chwyciłam za telefon i zaczęłam sprawdzać, kto z moich przyjaciół przeżył II wojnę światową.

Wpisałam imiona i nazwiska, zaczęłam od Jadźki. Przeżyła! Zmarła rok temu na zawał serca. Gośka, o dziwo, dalej żyła, co ciekawe, jej bliźniak również. Do sprawdzenia został mi jeszcze Toruń i Arnold. Toruń żyje i ma się dobrze, choć jest już bardzo chorowity. Ostatnia osoba, Arnold Witomiński — zmarł podczas przesłuchania prowadzonego przez Niemców. Załamałam się, bo wszyscy oprócz osoby, którą darzyłam jakimś uczuciem, choć sama przed sobą nie umiałam się do tego przyznać, żyją. Na pewno muszę coś zrobić, aby odwrócić jego los. Nacisnęłam przyciski na bransoletce, gdy maszyna zapytała mnie gdzie chcę polecieć, odparłam:

— Czy mogę zabrać ze sobą osobę, która zginęła w przeszłości?

Maszyna odpowiedziała mi:

— Możesz tę osobę zabrać do twojego czasu. Jak jeszcze mogę ci pomóc?

— Przenieś mnie w to samo miejsce i czas, z którego właśnie wróciłam.

W tym samym momencie przeniosłam się powrotem do Arnolda. Czekał na mnie w tym samym miejscu i od razu zapytał:

— I co, wszyscy przeżyją?

Nie chcąc kłamać, powiedziałam ze smutkiem:

— Wszyscy prócz ciebie.

Armi patrzył na mnie przez chwile jak zahipnotyzowany, a po chwili zapytał:

— Na pewno?

— Tak, sprawdziłam w paru źródłach, ale mam pomysł, jak tego uniknąć.

— W jaki sposób? — zapytał zaintrygowany Armi.

— Przeniesiesz się ze mną. Moi Rodzice adoptują Cię, a my moglibyśmy być razem.

— Jesteś genialna, ale jak wytłumaczysz to swoim rodzicom i ekipie?

— Ekipie powiemy prawdę, tak samo jak moim rodzicom. Zrozumieją.

Tego samego dnia powiedzieliśmy wszystkim w ekipie. Zaakceptowali to i byli zaintrygowani bransoletką, nie mniej niż Armi.

— Odwiedź nas w twoich czasach, proszę! — Gośka mnie poprosiła.

— Zrobię to.

Arnold powiedział swojej Babci o całej sytuacji, a ona stwierdziła, że najlepsze co możemy zrobić, to przenieść się do moich czasów. Ostatni raz pożegnaliśmy się ekipą. Złapaliśmy się za ręce, po czym nacisnęłam przyciski na bransoletce i powiedziałam:

— Zabierz mnie i Arnolda do moich czasów.

Po chwili staliśmy w moim pokoju, a Arnold rozglądał się i podziwiał moje rzeczy. Poszliśmy do moich rodziców, wytłumaczyliśmy im sytuację i oboje podjęli decyzję, że adoptują Armiego.

Miesiąc później.

Plan został zrealizowany. Armi został adoptowany przez moich rodziców, chodziliśmy razem do jednej klasy, wszystko się ułożyło, a moje dawne życie zmieniło się o 180 stopni. Dalej pamiętałam o obietnicy złożonej Gośce, dlatego pojechaliśmy do Witomina, czyli dzielnicy Gdyni, bo tam właśnie mieszkała. Weszliśmy do bloku, wjechaliśmy windą i zadzwoniłam do drzwi. Otworzyła je starsza kobieta w turkusowej sukience. Gośka, teraz sumie pani Małgosia, powiedziała do nas:

— Udało wam się.

6. Podwórkowe zabawy

Utwórz ten dedykuję moim kochanym wspierającym rodzicom, którzy bardzo cierpliwie pomagali mi i dalej pomagają w dojściu na sam szczyt moich możliwości.

Dedykuję też to mojej wychowawczyni, która pomimo moich licznych błędów wspierała mnie i pomagała, kiedy nie radziłem sobie w szkole. Dziękuję też kolegom (Damianowi, Olafowi Ani), dzięki którym nie nudziłem się i miałem z kim spędzać czas.

Dziękuję całej rodzinie, bliższej i dalszej oraz pieskowi, którego bardzo kocham.

Rozdział I: Ciekawy poranek

Łukasz wstał rano, jak zwykle uczesał swoje włosy i umył zęby. Zszedł na dół i spotkał mamę.

— Co zjesz na śniadanie? Byle coś szybkiego, żebyś się nie spóźnił na pierwszą lekcję, byłoby słabo — powiedziała.

I nagle doznał olśnienia — był pierwszy dzień gimnazjum.

— Jajecznicę będzie spoko — odpowiedział bez entuzjazmu. Szybko się spakował oraz zjadł śniadanie.

— Jest jeszcze tata w domu?

— Niestety nie. Jest bardzo zabiegany w związku z nową pracą.

Jaki ja jestem dzisiaj roztargniony — pomyślał Łukasz. Szybko ubrał się odświeżnię i założył czarne buty.

— Chciałbyś, aby odebrała cię babcia? Będzie jechać po drodze do domu.

— Nie, dziękuję... — odpowiedział. Jeszcze tego brakowało, żeby pierwszego dnia zobaczyli go z babcią. Pożegnał się grzecznie z mamą, po czym wyszedł do szkoły.

Po drodze do gimnazjum zobaczył coś bardzo dziwnego. Wydawało mu się, że widzi latającego kota, który kompletnie się nie ruszał. Przetarł szybko oczy, ale kot dalej lewitował. Po kilku mrugnięciach kot jednak zniknął.

— Chyba się za dobrze nie wyspałem— pomyślał.

Po dotarciu do szkoły na chwilę zatrzymał się i popatrzył na nią. Wydawało mu się, że była szara i depresyjna. Momentalnie udzielił mu się ten smutny nastrój. Po chwili jednak się rozpogodził, gdyż zauważył dwoje przyjaciół z podstawówki— Patryka i Milenę. Ta dwójka była jego wsparciem i towarzyszami niedoli. Zawsze śmiali się, jedli, wkuwali lekcje i razem oglądali filmy.

Łukasz mieszkał na Witominie od sześciu lat. W podstawówce (która swoją drogą przypominała przedszkole) poznał właśnie swoich przyjaciół. Był nowy w szkole i nie potrafił odnaleźć się w klasie, ale po pewnym czasie spotkali się na korytarzu, a Patryk zaproponował grę w piłkę na korytarzu, co było kategorycznie zabronione, chociaż i tak nikt nie stosował się do tego zakazu. Po przerwie Patryk i Milena usiedli z nim w ławce i razem próbowali zrozumieć tematy z lekcji.

Po szkole zaprosili go na wieczór filmowy, który szybko przeredził się w opowiadanie strasznych i ciekawych historyjek na temat Witomina. Opowiedzieli mu o satanistach, którzy ponoć w latach 80—tych porywali dzieci i o jubilerze, który zbierał wszystko, co się dało. Dzień później postanowili przejść się po osiedlu i pokazać mu najciekawsze miejsca. Zaprowadzili go niedaleko Skwerku Witomińskiego, gdzie można było najczęściej spotkać bardzo przyjaznego Dzia Bartka, który krążył nie tylko po lesie, ale i po dzielnicy.

Po eksploracji okolicy poszli usiąść na słynnej ławce koło blokowiska. Rozgrywało się już tam wiele ciekawych i strasznych historii. Milena i Patryk opowiedzieli mu o kilku z nich. Tak właśnie zaczęła się przyjaźń tej trójki.

Teraz trzeba było szybko pobiec do sali gimnastycznej, w której zwykle odbywały się tego typu wydarzenia. Po bardzo nudnej przemowie dyrektora oraz pani katechетки, zaczęły się lekcje. Pierwsza była historia. Pomimo wielu przewidywań i uprzedzeń była ona dosyć ciekawa. Pani była pełna energii i często się śmiała. Okazało się, że jest ona też wychowawczynią ich klasy, z czego wszyscy się ucieszyli. Kolejną lekcją była matematyka, która była dosyć trudna. Po zajęciach pani zadała masę prac domowych, które trójka przyjaciół zaplanowała odrobić razem. Jednak na trzeciej lekcji, czyli języku angielskim, stało się coś niespodziewanego. Patryk najpierw zrobił bardzo zdziwioną minę, a potem wytrzeszczył szeroko oczy i je przetaił.

— Co się stało? Wyglądasz jakbyś zobaczył tańczącą szafę— zaczęła go Milena.

— Coś mi się przywidziało... — odrzekł Patryk.

— Nie no, coś musiało się stać— powiedział Łukasz.

— Wydawało mi się, że pani od Anglika weszła do sali przez ścianę. — Wszyscy spojrzeli na siebie, zachowując bardzo poważne miny.

— Niestety nie mogę zaprzeczyć, bo nie przyglądałem się wejściu nauczycielki — odrzekł Łukasz.

— No.... Normalnie jakby się pojawiła znikąd. Zero dźwięku, skrzypienia drzwi. Jak jakiś duch... — zdziwiła się Milena.

Rozdział II: Dzień pełen złych wrażeń

Kolejnego dnia Patryk obudził się w złym humorze. Budzik mu nie zadzwonił, przypalił tosty i okazało się że nie ma dżemu.

— Normalnie jakby życie próbowało mnie dobić — stwierdził.

Potem wyszedł do szkoły i postanowił, że cokolwiek się będzie działo, spróbuje zachować dobry humor. Jednak podczas spaceru zobaczył bardzo dziwne zjawisko pogodowe, a mianowicie tęczę bez końców. Zaczynała się mniej więcej na drzewie koło ulicy Uczniowskiej i w połowie okręgu po prostu znikwała. Tym bardziej było to

dziwne, że nie padał od tygodnia deszcz. Nie było też wilgotno ani nie było żadnego powodu, dla którego to zjawisko mogłoby zaistnieć. Patrząc tak na tę dziwną anomalię, postanowił wybrać się w miejsce, w którym zaczynała się tęcza. Po drodze do miejsca spotkania zjawiska z ziemią zatrzymali go Milena i Łukasz.

— Gdzie idziesz? — zapytał Łukasz.

— Spójrzcie na tę tęczę! Nie widzicie w niej nic dziwnego?

— O kurczę! Bez kitu! — krzyknęła dziewczyna.

— Może pójdziemy to sprawdzić? — zapytał Patryk.

— Chce ci się teraz szukać garńca ze złotem na końcu tęczy?

— Z ciekawości chcę sprawdzić — Patryk wzruszył ramionami.

— Na pewno lepsze to niż ślęczenie nad książkami i nudzenie się w szkole — zapewnił Łukasz.

— No niby racja — zgodziła się Milena — ale najpierw musimy się zaopatrzyć w prowiant.

Rozdział III: Ekspedycja

Po powrocie na miejsce spotkania bardzo się zdziwili. Tęczy nie było.

— Pierwszy raz widzę tęczę, która znika w tak szybkim czasie — powiedział Łukasz.

— Dziwne... Bardzo dziwne... — mruknął Patryk.

— Przemyślmy to — zaproponowała Milena.

Udali się więc na ławkę koło blokowiska. Na jednym z bloków widniał ciekawy napis, który głosił:

Ławka

znajoma lecz już odległa witomińska ławka.

Wiele razy świeżo malowana,

żyje na tym blokowisku coraz bardziej zapomniana.

— Tego tu nie było ostatnio — stwierdził Łukasz.

— Bardzo piękne, z głębokim przekazem. Jakiś utalentowany artysta musiał to wymyślić oraz napisać na tej ścianie — podziwiała dziewczyna.

— Albo artystka... — wtrącił Patryk.

Usiedli na ławce, o której mówił wiersz i zaczęli rozmyślać.

— Może udamy się w miejsce, gdzie poprzednio zaczynała się tęcza? — zaproponował Łukasz.

— Czy to na pewno dobry pomysł? Przecież jeśli się pospieszymy na lekcje, jeszcze zdążymy na historię i nie dostaniemy takiej bury od rodziców — powiedziała Milena.

— Ja jestem za tym, aby pójść sprawdzić tę anomalię — odpowiedział Patryk.

— No cóż, zostałam przegłosowana — burknęła Milena.

Po dotarciu na miejsce, w którym rozpoczynała się tęcza, po raz kolejny zdziwili się. Był tam właz. Weszli przez niego do ciemnej piwnicy. Usłyszeli jakieś dziwne głosy. W niepokoju zeszli na dół. Okazało się, że to jacyś żołnierze, patrzący na dziwną substancję w szklano-metalowym zbiorniku, który był oświetlony czerwonym światłem. Dzieci momentalnie zamilkły, bo zrozumiały, że wpadły w poważne kłopoty. Po krótkim rozejrzeniu się zauważyli, że żołnierze mają przy sobie agentów federalnych. Kimś, kto wyglądał na przywódcę, była osoba o imieniu Alex. Po aparaturze, która była w wielu miejscach, można było się domyślić, że obiektem eksperymentów jest żywe stworzenie. Moc niezwykłości, którą ma tęcza, przenieśli do pojemnika.

— CO ONI ROBIĄ!?! — wrzasnął Patryk. Zdziwieni Agenci zaczęli się rozglądać.

— Co jest? — zapytał jeden z żołnierzy. Zdaje się, że jeden z nich zauważył błyszczące cekiny na bluzce Mileny, bo zaczął krzyczeć: — Stać! — zaczęli biec w stronę włazu.

— Musimy wyłączyć tę ich maszynę — krzyknął Łukasz.

— To ona powoduje te wszystkie anomalie w okolicy — odpowiedział Patryk.

— Stłuczmy szkło trzymające tę całą osobliwość — podała pomysł Milena, jednak Alex biegł już w ich stronę z bronią w dłoniach.

— Szybko, wyjmij nóż — powiedział Łukasz do Patryka.

— Jaki nóż? — zapytał Patryk.

— Ten od prowiantu. Daj mi go!

Łukasz zaczął celować ostrą stroną noża w Alexa. W ostatniej chwili zmienił cel i nóż poszybował w stronę zbiornika z osobliwością. Substancja wystrzeliła we wszystkie strony, ale dzieci były już za daleko, aby to ich dosięgło. Wyszli czym prędzej przez właz, nie oglądali się, po prostu biegli jak najszybciej tylko mogli, by oddalić się od tamtego miejsca. Kiedy wydostali się z laboratorium zobaczyli, że tęcza jest już cała.

Dzięki tej przygodzie ich przyjaźń się umocniła.

Kolorowisko

Blok, Blokowisko, Kolorowisko

Pewnego dnia na Witomińskiej ulicy
ponad szaroburymi wysokimi budynkami

Ujawniła się tęcza nie całkiem widoczna

A jednak

Wracając do domu spojrzałam w górę
pojawił się uśmiech na twarzy mojej

Wpatrywałam się w nią chwil parę

zanim zniknęła na stałe

Jasne okna

Blok a w nim świetliste okna
Za jasnymi rozświetlonymi szybami
To kot, krzyżówka i starsza pani, dziewczynka bawiąca się
lalkami

Gdzieś cień się zjawi
Ktoś płacze za drzwiami

Różowe światło pobłyskuje za firankami w rytm pozytywki małej
Zanim światła zaczynają gasnąć wiele można zauważyć

obraz

AMELIA PAPIS

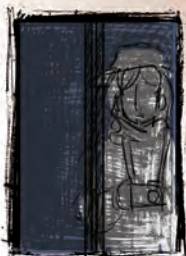
RAPORT Z WITOMINA



LINIA 144
JAKO JEDNA Z
NIEWIELKIMICH
KONCÓW WARS
NA WITOMINIE.



ULICA CHWĄRZNIĘSUA





NO BEZ JA J!!!
MOJE NOWE BUTY! AAAGH!



TAKIE DZIURY W CHODNIKACH TO CHYBA NA KARMINACH TYLKO WIDZIALEM!



WYGLĄDA NA TO, ŻE CAŁA ULICA JEST ROZMOPANA I DZIURAWA.
NO NIC.



ALE HEJ!
DRUGA STRONA ULICY NIE WYGLĄDA TAK ŹŁE!



GIEŚ MAJONEZ!



WITAMINO LEŚNIKÓWKA



PUK
PUK

USPOKOJ SIĘ, MAM TYLKO ZADAC TAKIE PYTANIA O OBECNE SYTUACJI.

ZACNIJMY OD TEGO DEBU - TO ZNAMY, DOMU. TAK. WYGLĄDA ZACNIE!

NAWET, PRZESTAJE PADAC DESZCZ!



CZEGO?!



DZIEŃ DOBRY. MAM NA IMIĘ MAKS, JESTEM DZIENNIKARZEM.

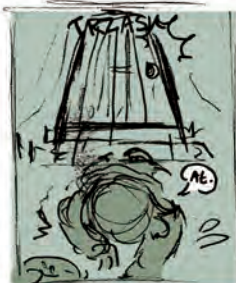
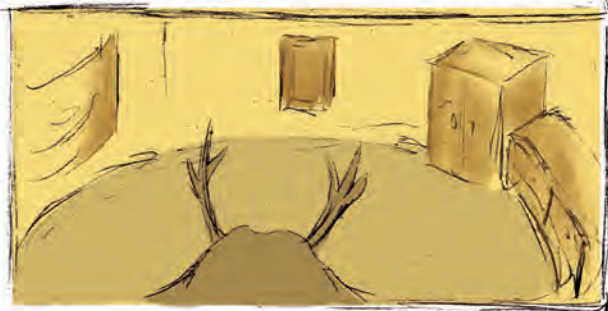
NIE, JESTEŚ STĄD, PRAUDA?

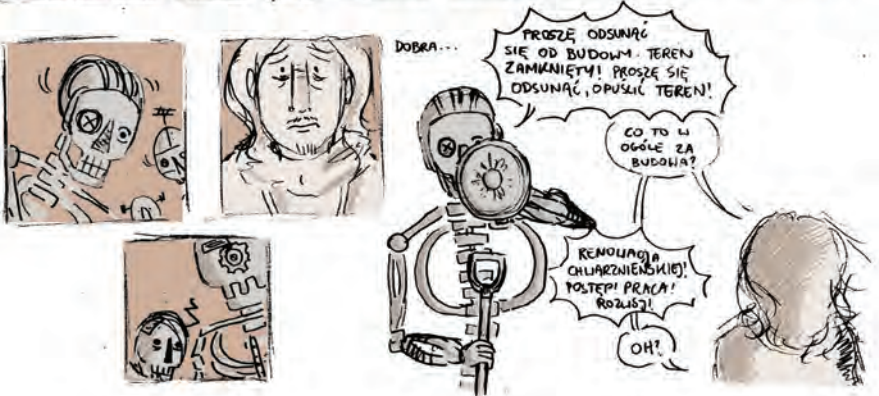
NIE, JESTEM Z CENTRUM GDYNI, CH-

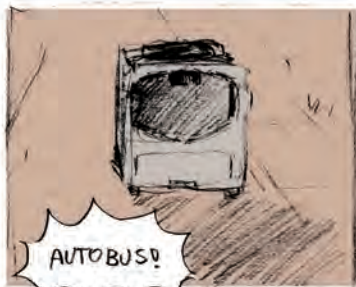
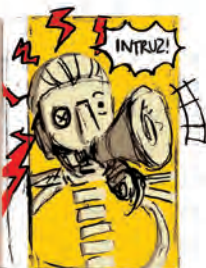
DOBRA ŚW. MARGUSZAN, Z CZYM PRZEMCHODZISZ?

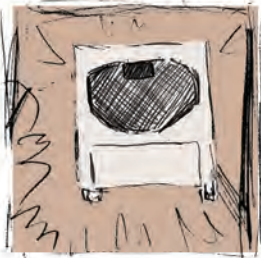


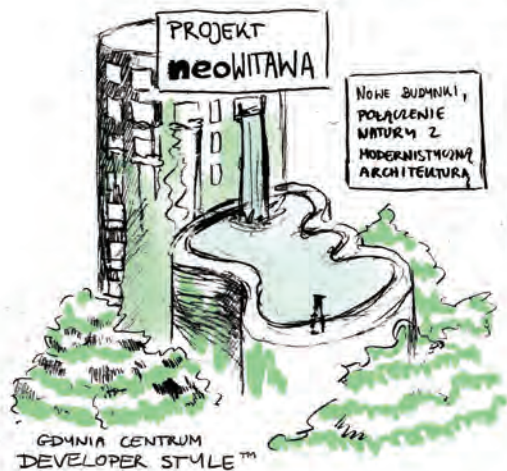
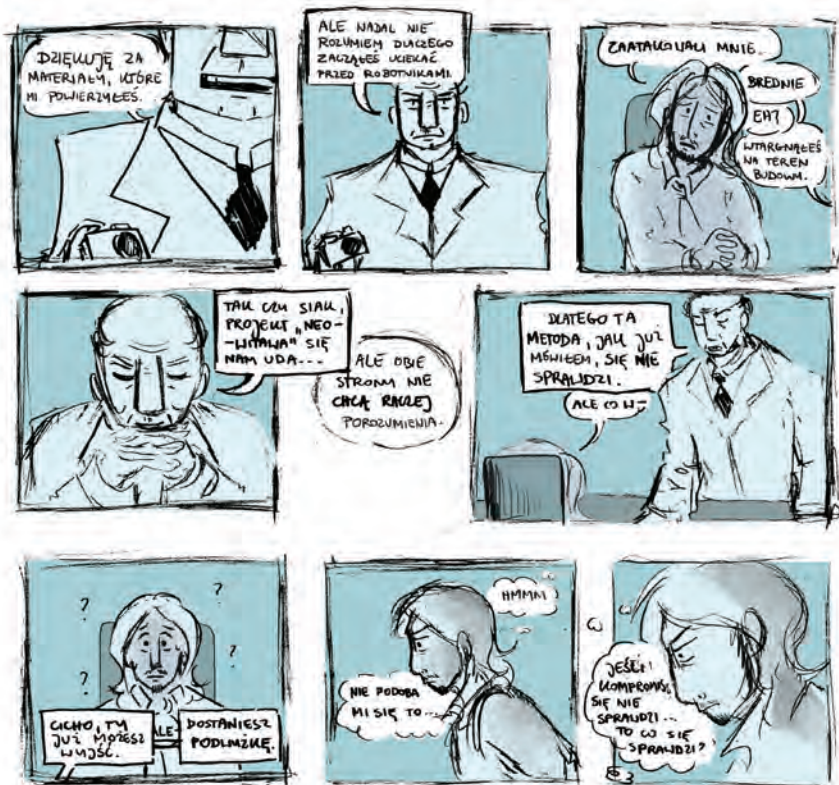
SMSZAKEM, ŻE TU NA WITAMINIE JEST JAKIŚ KONFLIKT I CHCE SIĘ O NIM DOWIEDZIEĆ CZEGOŚ WIĘCEJ.

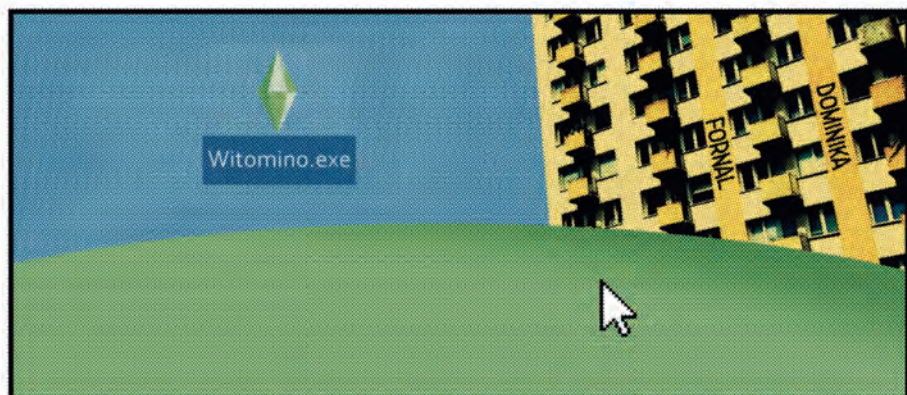


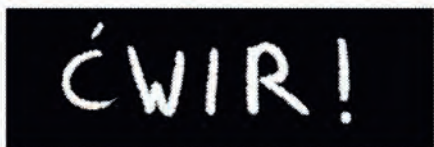
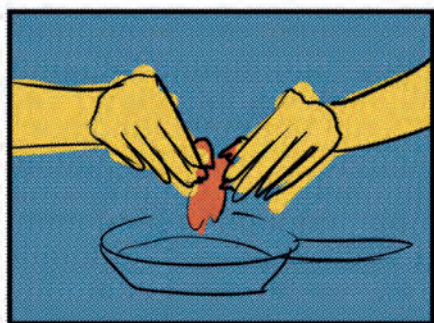




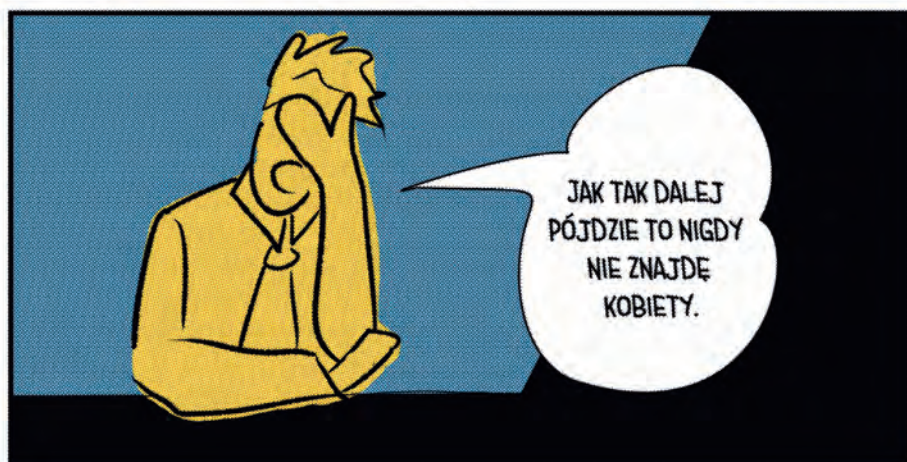
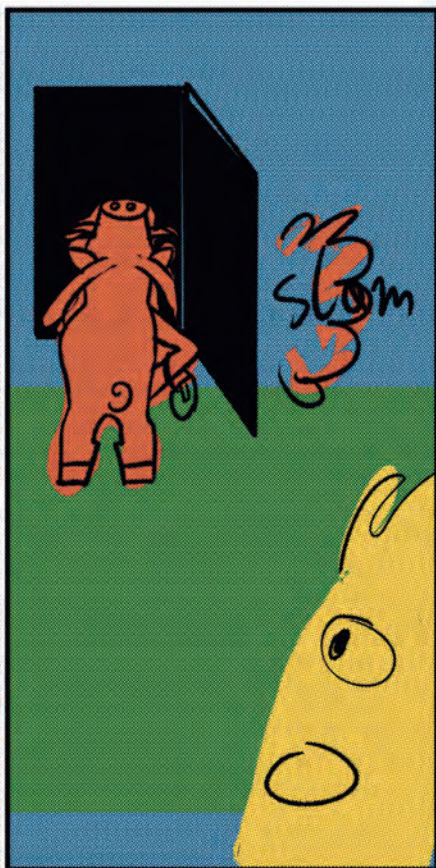


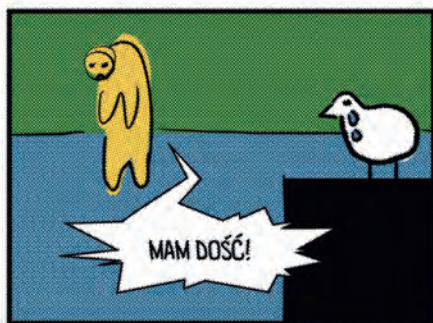
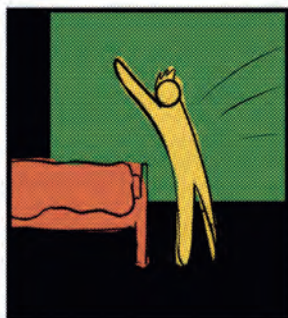
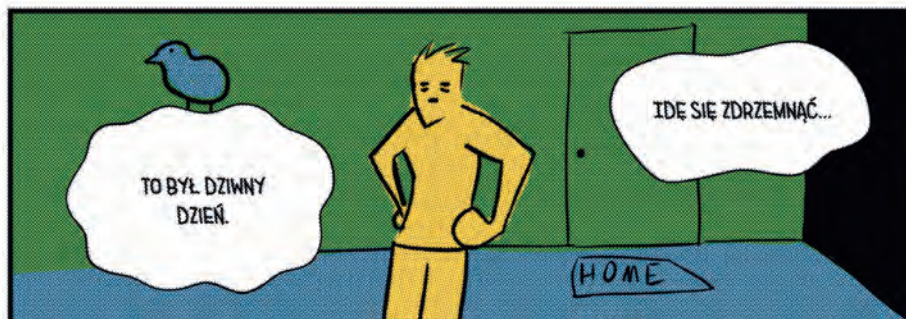


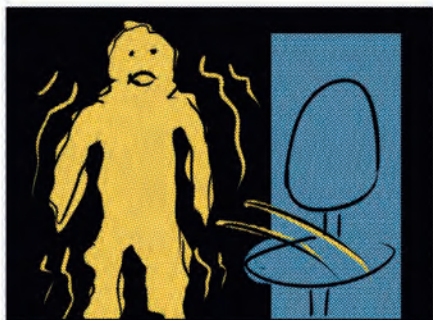
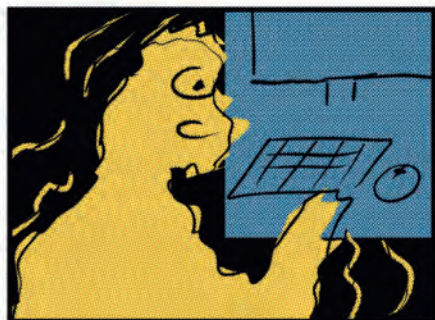






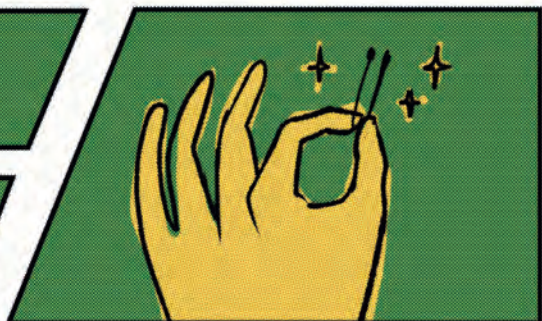


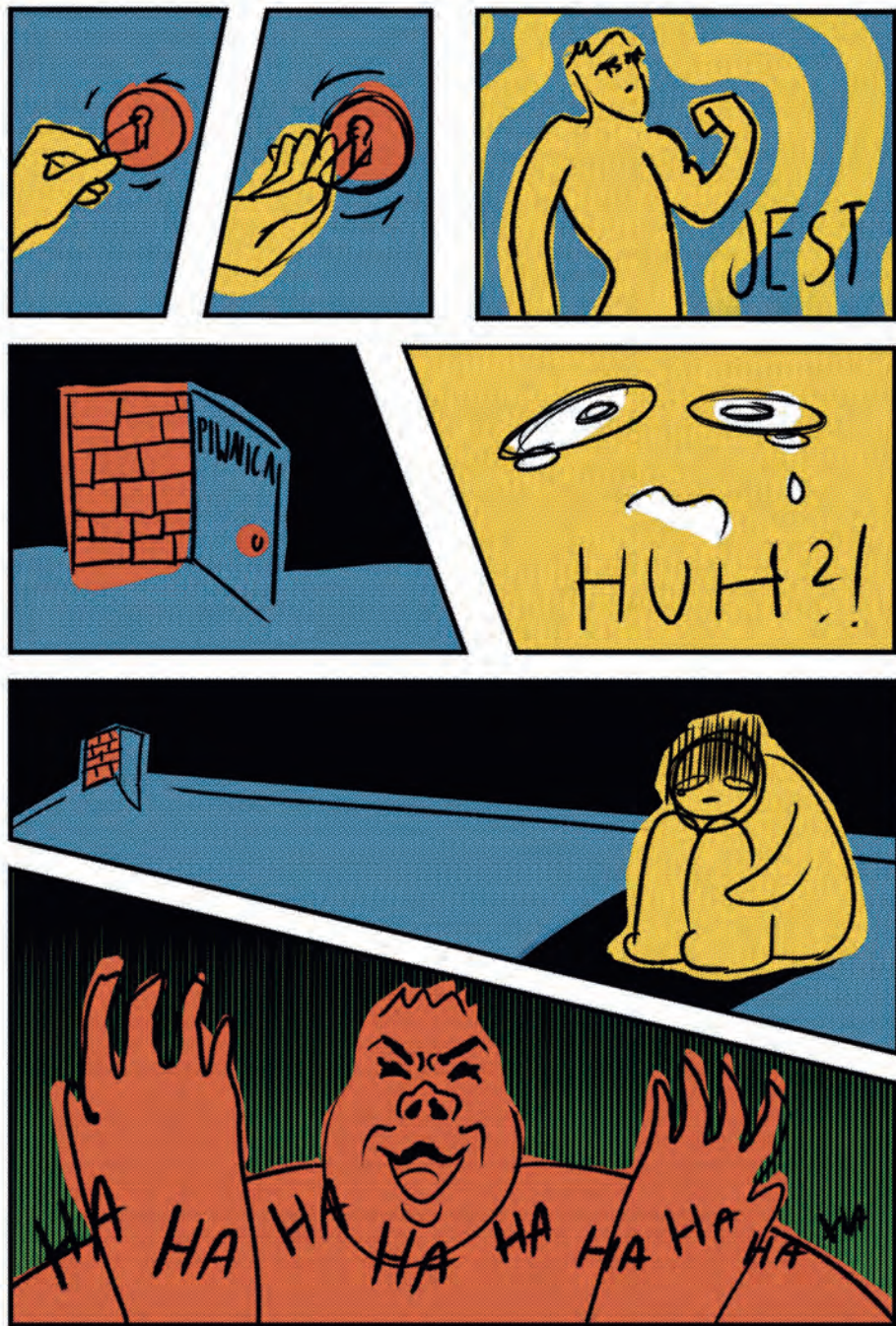


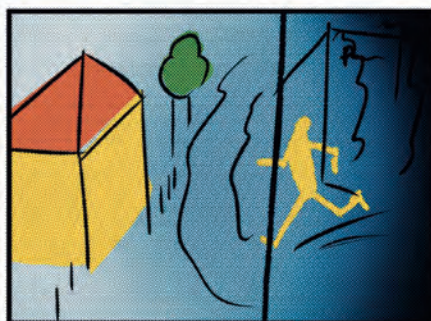
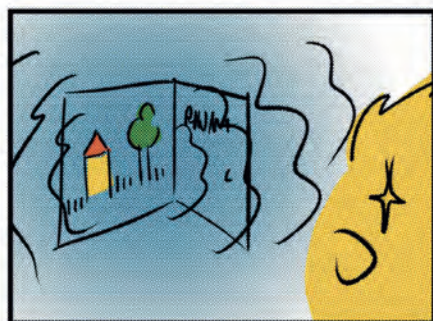
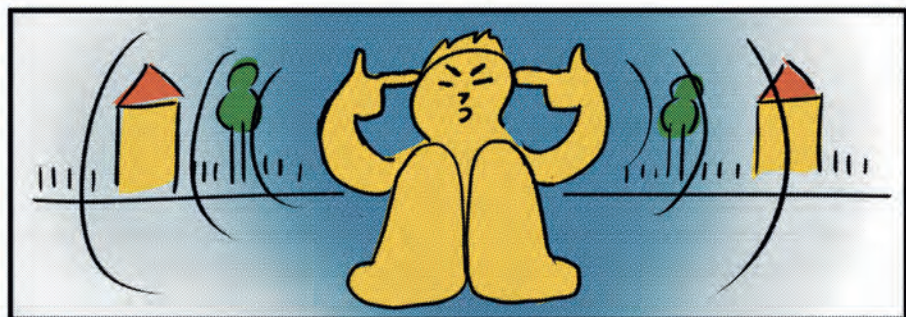
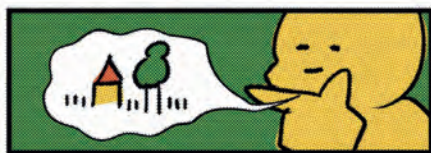


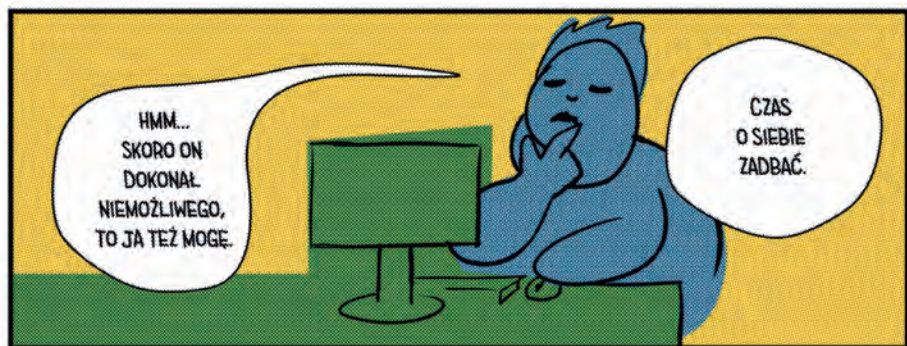
NIE PANUJĘ NAD SWOIM CIAŁEM!!!



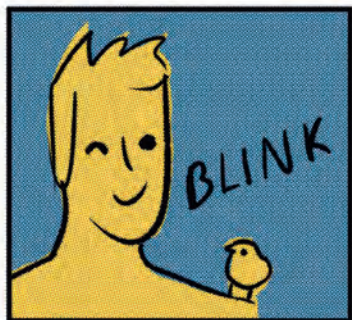
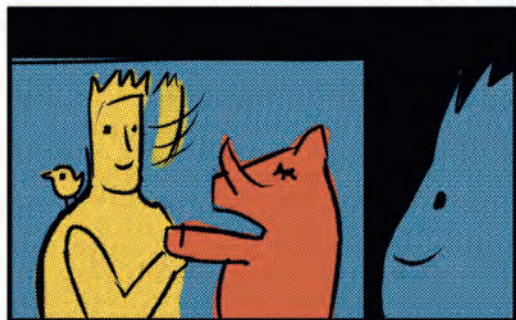








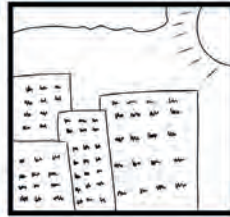
PARĘ MIESIĘCY PÓŹNIEJ...





Kotomino - Kotobranie

Dzień 1



Dzień 2





Dzień 3



Dzień 4



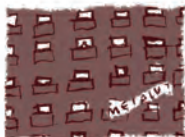
Moja antydepresyjarnia



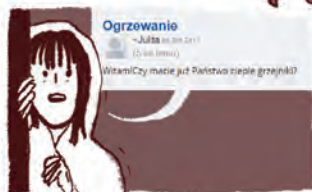


ARTOR: IZABELA MIECHOWICZ





Mam nadzieję, że kiedyś znajdziesz innego fana metalu.



*Dziękujemy wszystkim, którzy mieli swój udział naszej młodorosłej publikacji.
Uczestnikom, prowadzącym, patronom i przyjaciołom.*

Zrozumienie siebie i znalezienie odpowiedzi na pytanie: *kim jestem?* to kluczowe zdania okresu adolescencji. Bezpieczna eksploracja otaczającej rzeczywistości, zdefiniowanie kluczowych przekonań, wartości i zainteresowań powinny wypełniać przestrzeń dorastania. Niezbędna do powodzenia tego procesu jest obecność mądrych, przewidywalnych dorosłych: rodziców i nauczycieli.

Podstawowym zadaniem współczesnej szkoły jest wspieranie rozwoju psychospołecznego uczniów.

Prezentowany w publikacji projekt wpisuje się w powyższe działania. Dorastającym stworzono przestrzeń do poszukiwania i wyrażania siebie poprzez różne formy działań twórczych. Efekt jest imponujący, pozwala chociaż na chwilę „wejść” w świat dorastających uczniów i podjąć próbę zrozumienia tego co się w nim dzieje: jak dorastający widzą, czują, jak doświadczają codzienności. To też świetna okazja do dialogu między wychowywanymi a wychowującymi. Rozwój człowieka to wspólne zadanie dziecka i dorosłego, to dynamiczny proces uczenia się od siebie nawzajem.

Prezentowany projekt jest przykładem nowatorskich i kreatywnych działań, które mam nadzieję będą coraz częściej realizowane w środowiskach edukacyjnych. Do realizacji takich właśnie innowacyjnych działań Instytut Pedagogiki na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Gdańskiego przygotowuje swoich studentów.

*dr hab. Justyna Siemionow,
profesor Uniwersytetu Gdańskiego
Instytut Pedagogiki
Wydział Nauk Społecznych*

*Publikacja wydana w ramach zadania publicznego Witaminacja 2.0,
finansowanego ze środków Wydziału Kultury Gminy Miasta Gdynia.*



ADE | Gdańsk

